OPŁATA POCZTOWA UISZCZONA RYCZAŁTEM.

Numer pojedyńczy Mk. 1.500.000.

ŚWIAT

PISMO TYGODNIOWE ILUSTROWANE.

Rok XIX. WARSZAWA. Dnia 2 lutego 1924 r. № 5.

Humor zagraniczny.

BULDOG I KOTKA.



Pieśń bez słów.

(Punch).

NIEPOŻĄDANY GOŚĆ.



— *Czy Pan czeka na tatusia? On nie wrócił...*

— *Jakto nie wrócił? Przecież to jego godzina przyjęć!..*

— *Ponieważ tatuś wcale nie wychodził.*

(Le Rire).



— *Nie męcz tego kota... Jego to boli.*

— *Kiedy on i tak nie ugryzie!*

(Excelsior).



Podróżnik. — Nie widzieliście mojego przyjaciela?
Murzyn. — (Oblizał się). — Ostatni raz widziałem go przed śniadaniem.

(Excelsior).



— *Jak mnie pani żywego widzi, raz nastąpiłem temu lwu na ogon.*

— *Jezus Marja! I co się stało?*

— *Poskromiciel zbił mię jak nieboskie stworzenie.*

(Le Rire).

Cena niniejszego numeru Mk. 1.500.000.

ŚWIAT

Rok XIX. № 5 z dnia 2 lutego 1924 r.

Wydawcy: Akc. Tow. Wydawnicze „ŚWIAT". Pod kierownictwem naczelnem Stefana Krzywoszewskiego.

TRAGEDJA INTELIGENCJI.

Jest to już rzeczą powszechnie znaną, że niesłychane trudności gospodarcze, związane z pierwszemi latami istnienia Polski odrodzonej, odbiły się fatalnie na losie t. zw. inteligencji, t. j. warstwy, żyjącej głównie pracą umysłową. Pokrzywdzenie ekonomiczne tej sfery jest już dziś faktem stwierdzonym bezsprzecznie, i w dużym stopniu wydziedziczony materjalnie inteligent polski bywa dość często przedmiotem szczerego lub fałszywego współczucia. Taki stosunek do tej części narodu jest jednak wysoce jednostronny—nie wyczerpuje on bynajmniej sprawy. To, że urzędnik, literat lub nauczyciel polski nie jest w stanie sprawić sobie na zimę futra, a czasem nawet całych butów, to że nie stać go na odpowiednie wykształcenie dzieci albo kurację chorej żony, to że nie ma częstokroć własnego kąta — wszystkie mieszkania bowiem w miastach wykupili paskarze—to razem wzięte jest wprawdzie bardzo przykre, ale to nie jest wszystko. Przypuszczać, iż dramat inteligencji naszej kończy się na tych prywacjach materjalnych, byłoby to zapoznawać zupełnie jej istotę duchową, zapoznawać niezłomną prawdę, iż inteligencja niewątpliwie jest tą najlepszą cząstką, jaką każde społeczeństwo posiada.

Twierdzenie to może obecnie tym i owym nie trafić do smaku. Może zda się im nawet herezją społeczną.—Jakto—słyszę pytania ze stron rozmaitych — więc solą ziemi nie jest robotnik, dający swój pot krwawy, ani włościanin, orzący od wieków ziemię, ani ziemianin, łączący pracę na roli z zacną rodową tradycją, ani przemysłowiec zasypujący swą produkcją rynki wewnętrzne i zewnętrzne?!—Tak, niestety—zmuszony jestem odpowiedzieć—wszystkie części narodu wagi są niezmiernej i każda ma swą rolę wielką i zasługę, lecz najcenniejszą ze wszystkich jest, darujcie mi, ta, co trzyma bezustannie straż nad myślą ogółu i produkuje jego duchowe walory. Dla przykładu... Niemcy nie powiedzieli, że bitwę pod Sadową wygrał był w swoim czasie przemysłowiec niemiecki, ani opasły junkier, ani ruchliwy kupiec, nie powiedzieli nawet, iż wygrał ją fabrykant iglicówek, choć z nich właśnie strzelano... lecz orzekli, iż głównym sprawcą owego zwycięstwa był... der deutsche Schulmeister—nauczyciel... A zaś nauczycielami w społeczeństwie swem nie są jedynie pedagodzy, lecz wszyscy ci, co sami wytężając mózgi, wytwarzają w nich pokarm duchowy, lub przeżuwają go przynajmniej za resztę. Oni to podtrzymują bezustannie ognisko oświaty, wiedzy i kultury, ciskając na ten stos płonący wspaniale, wszystko najlepsze, co mają, częstokroć samych siebie w porywie ofiarnym.

I czynią to dziwnie bezinteresownie zazwyczaj. Zaprawdę, za nowy gatunek guzików albo mydła ogół płaci przeważnie drożej, niżli za nowe teorje, spostrzeżenia, wysiłki wychowawcze, przestrogi, prawdy i ideały, których producentką i dostarczycielką jedyną jest wciąż ta sama „inteligencja". Najlepszym, najzasłużeńszym z tej czeredy, jak melancholijnie zauważył jeden z pisarzów skandynawskich — daje się lichy kęs chleba za życia i trochę kamieni (t. j. pomnik) po śmierci. To nie jest wiele... ale ta norma, w Polsce szczególniej, ustala się co raz to mocniej. Prawda... przybyła jeszcze „Polonia Restituta"... Teraz już inteligent polski powinienby być zadowolony. A jednak, wierzcie mi, przeżywa w dalszym ciągu głęboką tragedję. Podłożem jej—ukształtowanie się życia politycznego w odrodzonem państwie „nieco inaczej", niż to się śniło w ciągu wielu pokoleń, w ciągu lat wielu—najmędrszym, najszlachetniejszym, najlepszym.

Któż bowiem mógł przypuszczać, że prawie nazajutrz po strząśnięciu kajdanów, skuwających krwawiące i poszarpane członki narodu—niewolnika, stanie się naród ów chaosem borykających się ze sobą wyłącznie egoizmów klasowych i rozbestwionych stronnictw, stojących każde na gruncie nietylko innych programów lecz co ważniejsza innych cząstkowych „interesów", ignorujących często pomyślność całości. Wykazano nam już wielokrotnie „ze stron kompetentnych", że tak właśnie być musiało. Że Polska nie jest, nie może być żadną oazą na tle ogólnoeuropejskich procesów polityczno-społecznych, że wszystkie zjawiska, jakich dziś jest widownią, są naturalnym najzupełniej wynikiem powszechnej demokratyzacji i wybicia się czynnika ekonomicznego na pierwszy plan dążeń iprze-

mian politycznych w życiu narodów. Wszystkie argumenty w tym zakresie są nam już dobrze znane. Umiemy je na pamięć. Nie wpływa to jednak ani trochę na sytuację moralno-polityczną inteligencji polskiej.

Warstwa ta znajduje się pod tym względem wciąż w przeciwieństwie zasadniczem do stanowiska innych części składowych społeczeństwa i reprezentujących je kierunków politycznych. Wszystkie owe kierunki mniej lub więcej jawnie emanacją są egoizmów klasowych i w nich czerpią swoją rację bytu. Ugrupowania, które klasowości zarzekają się niby, w samej rzeczy również jej służą, łącząc to, co gorsza, z niesłychaną ekskluzywnością partyjną a nieraz propagandą nienawiści do wszystkich, hołdujących pojęciom odmiennym. Jedno i drugie: egoizm klasowy i wyłączność partyjna nie jest do przyjęcia dla inteligencji polskiej i nie może pogodzić się z jej sposobem myślenia, co ważniejsza nie może pogodzić się z jej poczuciem odpowiedzialności moralnej wobec narodu i państwa. Śród niezliczonych prądów odśrodkowych, rozsadzających niewątpliwie Polskę, śród mocujących się ze sobą rozbieżnych aspiracji i pragnień, osłabiających tak straszliwie spoistość Rzeczypospolitej, śród niecierpliwości jednych, sobkostwa i chciwości drugich, śród fanatyzmów, czyniących z programów—dekalogi, a z haseł spornych — dogmaty, narzucane siłą, śród gromad niedojrzałych często jeszcze do objektywnego traktowania spraw państwa i śród rycerzy politycznego przemysłu, celowo lub obłędnie rozsiewających ciągle pierwiastki rozkładowe różnorodnej walki wewnętrznej — inteligencja polska stoi odosobniona najzupełniej, ze zgrozą patrząc na orgję nierozumu i złości, której świadkiem być musi, stoi z rozpaczą w sercu, że fali zła, która zalewa i gubi Ojczyznę, ani powściągnąć ani przeciwstawić jej się w dostatecznym stopniu nie może.

Stosunek inteligencji polskiej bowiem do istoty państwa jest wprost odmienny od stosunku doń olbrzymiej większości społeczeństwa, zorganizowanego dziś w przeróżne egoistyczno polityczne bojówki. Boć taki właśnie charakter moralny ma partyjnictwo obecne. Każde prawie z istniejących dziś stronnictw gromi inne i pragnie, domaga się czegoś *od państwa*, inteligencja odwrotnie chciałaby dać i zdobyć jaknajwięcej *dla państwa*, i to nietylko przez idealizm lecz przez rozum i wyszkolenie pojęć. Przez dobre zrozumienie interesu wszystkich i tej solidarności, jaką przynależność do jednego narodu narzuca. Jest też inteligencja nasza tym ostatnim mohikaninem śród swoich, reprezentującym dążenie do uzgodnienia i pogodzenia usiłowań i chęci poszczególnych części ogółu i sprowadzenia ich do jednego mianownika — interesu Ojczyzny. Inteligencja polska to ostatnia ostoja odczuwania syntezy narodu i państwa. Poza nią — w danej chwili kipi, bróździ i kotłuje się parcjalność i ta ostatnia decyduje przeważnie o sprawach ogólnych. Decyduje w walce brutalnej i wstrętnym przetargu. To się nazywa za naszych czasów — życiem politycznem.

W takiem „życiu“ dla uczciwego inteligenta, pojmującego sytuację istotną kraju i widzącego, jak szybko wskazówka losów naszych dobiega 12-ej, niema zaprawdę miejsca. I najlepsi, i najmędrsi i najbardziej zrównoważeni w narodzie faktycznie wydziedziczeni są nietylko z partycypowania w ogromnym dorobku mas szlacheckich i chłopskich lub warstw kupiecko-przemysłowych, ale, co straszniejsze o wiele, wydziedziczeni z możności brania naprawdę aktywnego udziału w polityce narodu, tym najwyższym przejawie jego świadomości i woli. Inteligencja polska w najzdrowszej swojej części stanowi zastęp t. zw. bezpartyjnych, gdyż z żadnym z istniejących ugrupowań zsolidaryzować się ani w celach ani tembardziej w metodach nie jest w stanie. Na to musiałaby wydrzeć z piersi sumienie i własny mózg podeptać. Na to musiałaby się zaprzeć samej siebie. Bo — wychowawszy się w szacunku dla najwyższych ideałów narodu — jakże zstąpić na rynek, gdzie się biją na pięści, wyrywają sobie wzajem zyski i hałaśliwym wrzaskiem wypełniają przestrzeń wokoło!.. Tak zaś wyglądają narazie u nas międzypartyjne stosunki. By w nie wejść—trzeba mieć grubą skórę i mało skrupułów, albo chcieć się poświęcić najzupełniej za cenę wlania choć odrobiny z najgłębszych wierzeń swych w ten stek skłóconych namiętności, wstrząsający niezcementowanym jeszcze i niedość zrośniętym gmachem naszego zbiorowego bytu.

Ale i taki akt ofiary, całopaleniu równy — nie jest bynajmniej łatwy dla człowieka, mającego nieszczęście należyć do rzeczywistej „inteligencji“. Stronnictwa niechętnie wpuszczają do swych ośrodków zasadniczych ludzi, którzy by mogli wnieść tam nowe tchnienia. Jest to właściwość zresztą wszelkiego sekciarstwa. Polskie sekciarstwo polityczne znosi jak dotąd jeden najczęściej powtarzający się typ inteligenta-kondotjera, szukającego poparcia i żeru. I takich nie brak, ale ich bym od wyraźnego i szlachetnego typu inteligenta oddzielić pragnął jaknajbardziej. Do cech inteligencji polskiej należy niepodległość ducha i bezinteresowność wobec spraw publicznych. Temi przymiotami ludzie, robiący karjery przez stronnictwa, zazwyczaj pochwalić się nie mogą. Nie są to więc przedstawiciele tych sfer intellektualnych, o udział których w życiu politycznem narodu iść wszystkim powinno. Te koła—wyjąwszy chyba ludzi, którzy weszli do partji przed wojną jeszcze, gdy partje były czemś innem, niż dzisiaj — znajdują się wciąż poza nawiasem właściwie polityki aktywnej, stanowiąc rezerwuar wysoce cennych wartości, z którego jednak ku powszechnej szkodzie czerpie się chyba wtedy, kiedy obsadzić trzeba ten lub inny urząd, przypadkowo nie wzbudzający apetytów żadnego stronnictwa, pragnącego mieć na nim koniecznie „swojego człowieka“. Inteligent polski niezaprzysiężony w żadnej z istniejących partji nie ma też oczywiście żadnych szans przejścia do Sejmu przy wyborach.

I staje się, że dzięki temu w twórczości politycznej narodu są wszyscy za wyjątkiem najbezstronniejszych, najwykształceńszych, najczystszych duchowo i najlepszych. Czasem zbieg okoliczności, zazwyczaj połączony z sytuacją krytyczną, wynosi na to lub inne stanowisko naczelne człowieka z tej właśnie z reguły pomijanej sfery, przez chwilę mogą się nawet w jego ręku znaleźć losy państwa... Ale to jest przypadek... Zdarza się on, gdy partje w swoich walkach w nazbyt wielkie już zabrnęły absurda. Ale niech tylko wysiłkiem takiego typowego inteligenta polskiego o mocnej i niepodległej duszy, o rozumie głębokim i przemyślanym planie czynu — sytuacja ogólna się nieco poprawi, a wnet zakipi znów emulacja stronnictw, które z nich ma być w Polsce górą. I bezstronny pierwiastek inteligencki pójdzie znów w kąt, jako partjom niemiły i zbyteczny. I ponowne odsunięcie całego dzielnego i prawego zastępu obywateli państwa od faktycznego wpływu na los jego — powróci i trwać będzie znów Bóg wie jak długo, tak jak trwa już lat szereg.

Inteligencja polska czyniła wysiłki, by znaleść dla się kształty, pod którymi wejść by mogła nareszcie w tok spraw publicznych, od których „demokratyczny“ ustrój polski w sposób iście genjalny potrafił ją odsunąć. Próbowała więc tworzyć organizacje polityczne własne. Niedawno jednak nie bez ukrytej radości jedno z pism lewicowych przypomniało zupełne akcji tej niepowodzenie i stwierdziło z triumfem, że na inteligenckie zespoły polityczne niema miejsca obecnie.

Nie wiem, czy jest się z czego cieszyć — trwająca bowiem nadal tragedja polityczna inteligencji polskiej jest nietylko jej tragedją. Jest tragedją narodu. Dla każdego dobrego polaka powstaje więc pytanie, jak wyjść z tej sytuacji fatalnej i dziwnie niedorzecznej. Porobić z inteligentów polskich funkcjonarjuszów tylko t. j. pionki posuwane wiecznie cudzą wolą — to zmarnować dla państwa w rozstrzyganiu zagadnień jego— materjał niewątpliwie najświetniejszy. I doprowadzić do materjału tego sfermentowaniu. Bo i na to trzeba zwrócić uwagę... A więc, czy tak, jak jest, ma pozostać? Z wynurzeń jednego z przywódców ludowych o potrzebie naprawy konstytucji i reformie ustawy wyborczej; można wnosić, że i w tych sferach potrzeba wprowadzenia lepszych elementów w życie polityczne Polski dojrzewa. By się to jednak stało możliwe muszą stronnictwa polskie zreformować same siebie, a przynajmniej zdecydować się na tę reformę. Wówczas to dopiero inteligent polski, ten niesprzedajny i ofiarny znalazłby możność wejścia do tych zespołów partyjnych, które dziś obywają się bez niego de facto, zaopatrując się przeważnie w inteligentów do szczególnych poruczeń. Ale sprawa to bynajmniej nie łatwa i tragedja inteligencji polskiej potrwać może jeszcze bardzo długo. Bowiem grupy na szerokiem tle demokratycznem powstałe pełne są w gruncie rzeczy nieufności do inteligencji polskiej—i gdy ktoś z pośród niej z najlepszą i najszczerszą wolą z ludem w jego robocie politycznej szuka zbliżenia—chłop polski często gęsto spoziera na to dość niechętnie i, jak mi mówił kiedyś jeden z leaderów naszego ruchu ludowego, wzrusza krytycznie ramionami i ironicznie oświadcza: „pon się najma“...

Wojciech Baranowski.

Nowe dzieło Wojciecha Kossaka.



Portret marszałka Francji F. Focha, w towarzystwie oficerów sztabowych, którzy byli w Polsce na uroczystościach majowych r. ub. Portret ten przeznaczony jest na dar dla muzeum narodowego. Fot. Saryusz Wolski.

Uroczystości ślubne J. C. Wysokości księcia regenta Japonji z księżniczką Nogako, córką księcia Kuoni w dn. 26 stycznia r. b. w Tokjo.



Uśmiech regentki Japonji, księżniczki Nogako.



Księżniczka Nogako w stroju narodowym japońskim.



Książe Hiro-Hito, regent Japonji, którego ślub z księżniczką Nogako odbył się w d. 26 stycznia r. b.



Książe regent Japonji na przejażdżce po ogrodach pałacu w Tokjo.

MARJA SKŁODOWSKA-CURIE.

Naród francuski za zasługi położone na polu nauki przyznał p. Curie-Skłodowskiej dożywotnią rentę. Dr. Wanda Szczawińska kreśli wiązankę wspomnień osobistych o naszej zasłużonej rodaczce.

Marja Skłodowska-Curie jest jedną z czworga wybitnych dzieci zmarłego już profesora matematyki szkół średnich w Warszawie. Starsze jej rodzeństwo stanowi znany w Warszawie dr. med. Józef Skłodowski, Ordynator Szpitala Dzieciątka Jezus i Bronisława Skłodowska-Dłuska, również dr. med., długoletnia kierowniczka wraz z mężem Kazimierzem Dłuskim Zakładu dla płucnych chorych w Zakopanem. Młodsza siostra Szalay jest wybitnym pedagogiem.

Zaraz po skończeniu szkół średnich Marja Skłodowska wstąpiła do pracowni fizycznej Muzeum Przemysłu i Rolnictwa, kierowanej przez prof. Boguskiego. Na samym wstępie swej tu pracy wykazała niepospolite zdolności badawcze, a obok nich cechy charakteru, jak pracowitość i wytrwałość, które, łącznie z wielkiem umiłowaniem nauki, stanowiły dla jej przyszłości najlepszą zapowiedź.

Były to pamiętne lata w historji ruchu umysłowego kobiet w Polsce.

Dwie lekarki, dr. med. Ciszkiewiczowa i dr. med. Tomaszewicz-Dobrska po ukończeniu studjów za granicą zainstalowały się w Warszawie, gdzie znalazły odrazu przychylne w społeczeństwie przyjęcie. I słusznie sobie na to zasłużyły, gruntowną wiedzą, niezmiernym taktem i oddaniem chorym, których leczyły. Pamięć ich jest droga dla tych kobiet, które w ich ślady wstąpiły.

Po tych pierwszych zwiastunach przybyły wkrótce inne, przeważnie przyrodniczki. Do nich należała Róża Silberstein, natenczas narzeczona nieodżałowanego prof. Józefa Nusbaum-Hilarowicza. Płomień światła szerzył się wśród młodych kobiet w Warszawie, powstawały jednocześnie prawie zbiorowe wykłady we wszystkich dziedzinach nauk. Ujęte później przez grono profesorów wspólnie ze słuchaczkami w system wydziałowy, dały popularnie nazwany Uniwersytet latający, którym bezinteresownie przez długie lata kierowała Jadwiga Szczawińska, późniejsza żona psychologa i pedagoga Władysława Dawida. Była ona za swą pracę przez władze rosyjskie nagrodzona dwukrotnem więzieniem, co nie omijało i jej męża. Jednak nauka w Uniwersytecie latającym, mimo poważnych sił profesorskich, jakie ją szerzyły, nie wystarczała niektórym ze słuchaczek. Rozbudziwszy w nich myśl badawczą, domagała się pogłębienia. O pracy przy uniwersytecie Warszawskim nie było mowy. Prześladowania Apuchtinowskie młodzieży męskiej prowadziły do masowego usuwania z Uniwersytetu studentów; o przyjmowaniu kobiet nie mogło być mowy. Nowy wzlot śmiałych miłośniczek nauki skierował jedne do uniwersytetów szwajcarskich, inne do paryskich. Wszystkie z nich prawie ukończyły studja wyższe. Pierwsze dyplomy doktorów nauk przyrodniczych w Genewie otrzymały: Michalina Stefanowska, Wanda Szczawińska, Gabryela Iwanowska—Balicka, wymieniam je w chronologicznym porządku. Pierwsze dyplomy licencjatek w Sorbonie paryskiej uzyskały: Marja Skłodowska nauk matematyczno-fizycznych i fizyko-chemicznych, dwa stopnie niezależne i Zofja Grużewska, licencjat nauk przyrodniczych. Te pięć przyrodniczek tegoż wzlotu wzięły udział w pracy naukowej zachodu. Prace badawcze Marji Skłodowskiej, późniejszej Curie, dały splot genjalnych zdobyczy.



P. Marja Skłodowska-Curie w pracowni w towarzystwie męża ś. p. P. Curie.

Nie mogę tu pominąć kobiet tego wzlotu, których studja zakończone zostały pozyskaniem dyplomów doktorskich w naukach lekarskich, bo gdy jedne z nich świecą pracą fachową, inne chlubnie się zaznaczyły w nauce, inne jeszcze w społeczno-lekarskiej działalności: Stanisława Popławska, Marja Wolska, Anna Lipnowska, Krygier, Marja Krygier, Jadwiga Korzon, Weisberg-Biszofswerderowa, dyplomy szwajcarskie. Marja Lipińska, Justyna Budzińska-Tylicka. Gabryjela Majewska, Marja Drzewina-Klimowicz, Bronisława Skłodowska-Dłuska, Józefa Jotejko, Wanda Szczawińska, dyplomy paryskie. Do nich dodać muszę nazwisko dobrze w kołach naukowych znane Zofji Daszyńskiej-Golińskiej, doktora nauk ekonomiczno-społecznych (Zurich).

Młode dzisiejsze pokolenie kobiet, dla których w Polsce stoi otworem sześć wszechnic i wszystkie prawa polityczne w odrodzonej Rzeczypospolitej, nie zaznają przeszkód, jakie miały do zwalczenia kobiety poprzednie: przesądy społeczne w Polsce i za granicą, trudności natury materjalnej, nienormalne życie po za rodziną, w środowiskach obcych. Czy plon ich pracy będzie równie bujny, jak pierwszych pionierek nauki w Polsce? Przyszłość to pokaże. Cel trudny do osiągnięcia jest często potężną podnietą dla czynu. Odmienne jest działanie słabego oporu.

Pierwsze polki na wszechnicach Zachodu wyrobiły mniemanie wśród uczonych świata, że kobieta polska jest zdolniejsza od mężczyzny. Na dwadzieścia parę kobiet jednego wzlotu do wszechnic na Zachodzie dziewiętnaście otrzymało dyplomy doktorskie; z nich więcej, niż połowa dorzuciła do nauki Zachodu zdobycze własnych dorobków i je-

dna genjalna badaczka dokonała odkryć, które sprawiły przewroty w nauce. A wszystko to zostało osiągnięte wielkim wysiłkiem woli, zaś małemi środkami materjalnemi. Bo nauka wymaga nietylko zalet umysłu, wymaga całkowitego się jej oddania.

Marja Skłodowska, która w Warszawie w pierwszych swych krokach na polu nauk doświadczalnych wykazała ścisłość eksperymentalną przy syntetycznem stawianiu problematów badawczych i przy żelaznej woli, pogłębiła swe zalety w kuźni naukowej Paryża.

Trudności życia na obczyźnie i walka o jutro dla swych naukowych zdobyczy zahartowały jej duszę.

Nie otrzymawszy w szkole średniej przygotowania matematycznego, niezbędnego dla swych uniwersyteckich studjów, musiała pracować w dwójnasób, by dogonić swych paryskich kolegów tęgich w matematyce wyższej. Gdy jednak stanęła do ostatecznych egzaminów ze swymi francuskimi rówieśnikami, okazała się mocniejszą od nich. Oba egzaminy na stopień licencjatu nauk matematyczno-fizycznych i fizyko-chemicznych zdała pierwsza.

Będąc studentką, każdą wolną chwilę od obowiązkowych zajęć spędzała w pracowni fizycznej Sorbony, zdobywając umiejętności techniczne, niezbędne do dalszej pracy naukowej. Widywałam ją tam codzień po przez okna pracowni zoologicznej, w której prowadziłam badania nad histologją porównawczą układu nerwowego ryb chrząstkowatych.

Gdy Roentgen w 1895 roku odkrył swe promienie, które nazwał X, Marja Skłodowska natychmiast zajęła się techniką otrzymywania promieni. Pamiętam, jak prof. Delage, kierownik pracowni zoologicznej, zabrał nas swych uczniów do pracowni fizycznej, by zobaczyć nowe zjawisko. Zastaliśmy tam w godzinach śniadania, kiedy pracownicy zwykle udają się na dwugodzinny wypoczynek, jedną Marję Skłodowską. Ta z niezwykłą swobodą demonstrowała aparaty Roentgena, jakby z niemi oddawna była obyta. W końcu demonstracji prosiła profesora, by jej pozwolił prześwietlić jego portmonetkę. W portmonetce znalazł się guzik i „2 sous". I we Francji kieszenie uczonych nie są napełnione złotem.

Jednoczesne prawie odkrycie Henryka Beckerela, które wskazywało na zdolność soli uranu do wydawania promieni, podobnych do promieni X, przykuło Marję Skłodowską, młodą już małżonkę Piotra Curie do nowych zjawisk. Odkrywa ona ze swej strony podobne własności w solach thoru. Buduje sobie wtedy przyrząd bardzo czuły i robi przegląd mnóstwa minerałów, poszukując w nich zjawisk promienioczynnych i ciał promienioczynnych, jak je sama nazwała. Wykrywa wśród nich minerały, które wydają promienie o wiele silniejsze, niż są do tego zdolne sole uranu. Jest więc blizka odkrycia radu, „tego małego strasznego bożka", jak się o nim wyraził jeden z nieśmiertelnych kolegów Marji Skłodowskiej-Curie.

Piotr Curie przyszedł wtedy z pomocą swej małżonce; ich złączone wysiłki dały światu nowy pierwiastek *Polon*. Po odkryciu Polonu przyszło odkrycie *Radu*.

Wielkie to odkrycie. Ustalone przez małżonków własności radu uczyniły przewrót w przyjętych w nauce poglądach na budowę materji, atomu i energji międzyatomowej, jednem słowem na układ Wszechświata.

Małżonkowie Curie nie wychodzili prawie z pracowni, czternastogodzinny dzień pracy nie był dla nich za długi. Mieszkając pod Paryżem w Sceaux, u rodziców Curie, przyjeżdżali codziennie na rowerach do pracowni, gdzie oddawali się nauce bez zastrzeżeń, zakochani więcej w niej, niż w sobie. Kiedy Marja Curie miała czas wydać na świat dwoje dzieci, było wyłącznie wiadome obu małżonkom; historja o wypadkach tych milczy.

Badania ich ściągnęły na nich szereg zaszczytów. Pierwsza Anglja obdarzyła ich złotym medalem, potem w 1904 przyszła nagroda Nobla. Francja ufundowała w Sorbonie w tymże roku katedrę dla Piotra Curie i pracownię radiologiczną. Francja jednak do czasu śmierci Piotra Curie zazdrośnie milczała o udziale żony jego w znakomitych odkryciach. Nacjonalizm francuski wolał zachować dla Francji wiekopomne odkrycie radu, a francuzi dziś jeszcze nazywają Marję Skłodowską-Curie sławą francuskiej nauki.

Ale Francja ma nietylko mózg i dumę narodową, Francja ma także i serce. Gdy straszny wypadek otworzył grób dla Piotra Curie, Francja stała się tkliwą matką dla Marji Curie.

Pamiętam ten dreszcz przerażenia, który przeszedł Paryż, gdy pisma podały wiadomość, że mózg Piotra Curie znaleziono na bruku, po rozbiciu jego głowy przez wóz z kamieniami. Pamiętam, jak wielcy Paryża chylili czoła przed skamieniałą z bólu Marją Curie.

Jeden był wtedy nakaz publiczny: Marja Curie winna dostać całą puściznę naukową męża: katedrę i kierownictwo pracowni. I tak się stało. Pierwszy wykład Marji Curie w Sorbonie był nadzwyczajnem zdarzeniem całego modnego Paryża. W auli wykładowej nie było miejsca dla studentów; wszystkie były zajęte przez najpiękniejsze paryżanki. Marja Curie miała siłę wykład ten odbyć bez drżenia w głosie.

Marja Skłodowska wyciągnęła w życiu dwa wielkie losy: odkryła rad i znalazła Piotra Curie. Ale szczęścia są o siebie zazdrosne. To też drugie zgasło szybko i bezpowrotnie. Piotr Curie był stworzony na męża tej silnej indywidualności kobiecej. Zapatrzony w naukę, czcił w swej małżonce wiedzę i wielkie talenty do jej zdobywania. Dobry, łagodny, sprawiedliwy i mądry, przyznawał bez chełpliwości to, co było jej dorobkiem i nigdy nie rozdzielał dorobków własnych od wspólnie zdobytych. Dostawszy krzyż legji honorowej, odrzucił go, bo jednocześnie małżonka jego krzyża nie otrzymała. Uważał jego wyłączne odznaczenie za uwłaczające dla zasług, położonych dla nauki przez jego żonę.

Trzy razy spotkałam się w Paryżu z Piotrem Curie. Pierwszy raz widziałam go po przez szparę drzwi, gdy zapukawszy do nich po dostaniu się na szóste piętro domu, zamieszkiwanego przez Marję Skłodowską, zostałam przez nią na progu jej pokoju zatrzymana grzecznem „przepraszam, wyjaśnię, dlaczego przyjąć nie mogę". Wpadłam właśnie na moment oświadczyn Piotra Curie, a był on dla niego niepomyślny. Marja Skłodowska, jak mi to później wyjaśniła, nie przyjęła Piotra Curie, nie chcąc wychodzić za mąż za francuza.

Drugim razem widziałam Piotra Curie, jako szczęśliwego narzeczonego Marji Skłodowskiej, w teatrze amatorskim, w którym narzeczona grała z dużem powodzeniem. Piotr Curie ćwiczył się wtedy w języku polskim i z całą prostotą i powagą powtarzał poddawane mu przez jej rozbawione koleżanki polskie zdania. A był już wtedy autorem prac z dziedziny magnetyzmu i elektryczności, które się w nauce zaznaczyły chlubnie.

Trzecim razem niedługo przed śmiercią znalazłam się z Piotrem

Curie na terenie Instytutu psychologicznego. Instytut urządzał posiedzenia ze znanem medjum Euzapją Paladino, a dla badania zjawisk lewitacji, wywoływanych przez medjum, zapraszał na posiedzenia znanych fizyków d'Arsowal'a i Piotra Curie. Ja znów w Instytucie psychologicznym organizowałam pracownię histologiczną układu nerwowego i wprowadzałam w ruch króliki dla badań porównawczych komórek mózgu w stanie czynnym i w stanie spoczynku. Zaproszona byłam przez Instytut na jedno z posiedzeń, by zbadać stan fizyczny medjum przed seansem i po nim.

Niezmiernie charakterystyczne było zachowanie się Piotra Curie na tem posiedzeniu. Nie narzucał zupełnie zebranym swoich myśli, nie wydawał sądów, poddawał się wszelkim nakazom tych, co doświadczeniami kierowali, tylko obserwował. Przywiązany za rękę do ręki Euzapji Paladino, patrzył, jak stawiane między nią i nim stołki, ogromne drzwi skakały z hałasem Gdy zaś Euzapja wabiła wolną ręką zawieszone za nią czarne firanki, i wzywała ducha, który miał jej w doświadczeniech pomagać słowami „veni, veni", Piotr Curie też same wykonywał ruchy, powtarzając za nią wołania.

Marja Curie po śmierci męża prowadziła dalej rozpoczętą pracę. Wydobywszy rad w stanie chlorku radu jeszcze za życia Piotra Curie i określiwszy jego ciężar gatunkowy, w 1910 r., już po śmierci męża, otrzymała rad w stanie czystym. Ustaliła dalej „stałą" emanacji radu i stworzyła międzynarodową jednostkę radu, która spoczywa w pawilonie Breteuil obok wzorów metra i jednostek układu metrycznego. To też na kongresie w Brukseli ochrzczono jednostkę emanacji radu mianem „Curie" na jej cześć.

Ale sława „małego strasznego bożka" nie ograniczyła się wyłącznie na jego własnościach fizycznych i chemicznych. Potęga jego sięgnęła do biologji. Już Beckerel wyczuł na sobie niszczące wpływy radu na tkanki żywe, gdy postały na ciele jego rany od noszenia przez parę godzin drobnych kawałków radu. Takież rany wywołał na swoich rękach już eksperymentalnie Piotr Curie.

Zastosowany natychmiast przez lekarzy Wickhama, Degrais, Chéron, Dominici i innych do nowotworów raka, okazał się skutecznym w niszczeniu chorych tkanek.

Początkowo leczenie radem było czysto empiryczne i dawało wyniki niepewne. Od czasu ustalenia przez Marję Curie „stałej" emanacji zyskało podstawę naukową. Słusznie też lecznictwo radem nosi dziś nazwę Curiterapji. Ma ono przed sobą wielką przyszłość. Ale też i wiele już dla życia ludzkiego zrobiło, zarówno jak Marja Skłodowska-Curie. Wczasie wojny stosowano je bardzo szeroko we Francji w leczeniu rannych wojennych. Marja Skłodowska-Curie od początku wojny była mianowana dyrektorem oddziałów radjologicznych przez Towarzystwo pomocy dla rannych wojennych, przez Związek kobiet Francji, przez Patronat narodowy dla rannych. Sama stworzyła dwadzieścia ruchomych wozów radjologicznych, zorganizowała dwieście stacji, jeździła na front do szpitali lub ambulansów dla sprawdzenia czynności instalacji radjologicznych lub dla wyszkolenia personelu. W 1916 roku stworzyła szkolę radjologiczną dla infirmierek, którą także kierowała. Sama organizowała w wielkich szpitalach francuskich oddziały radjoterapji i rozdawała rurki emanacyjne.

Za tyle genjalnej pracy i niespożytej energji została zaliczona w poczet nieśmiertelnych akademji medycznej francuskiej Ostatnio Francja obdarzyła Marję Skłodowską-Curie darem narodowym, zapewniając jej dożywotną pensję na wielkiej uroczystości dla niej zorganizowanej w murach Sorbony.

Po tych hołdach i darach cywilizowanego świata należy się teraz Marji Skłodowskiej-Curie hołd i dar od jej Ojczyzny. W Kurjerze Warszawskim proponowałam dla Marji Curie symboliczny dar narodowy— *łan polskiej ziemi.*

Wanda Szczawińska.
Dr. nauk przyrodniczych i medycyny

Wyprawa na wyspy Wrangla.

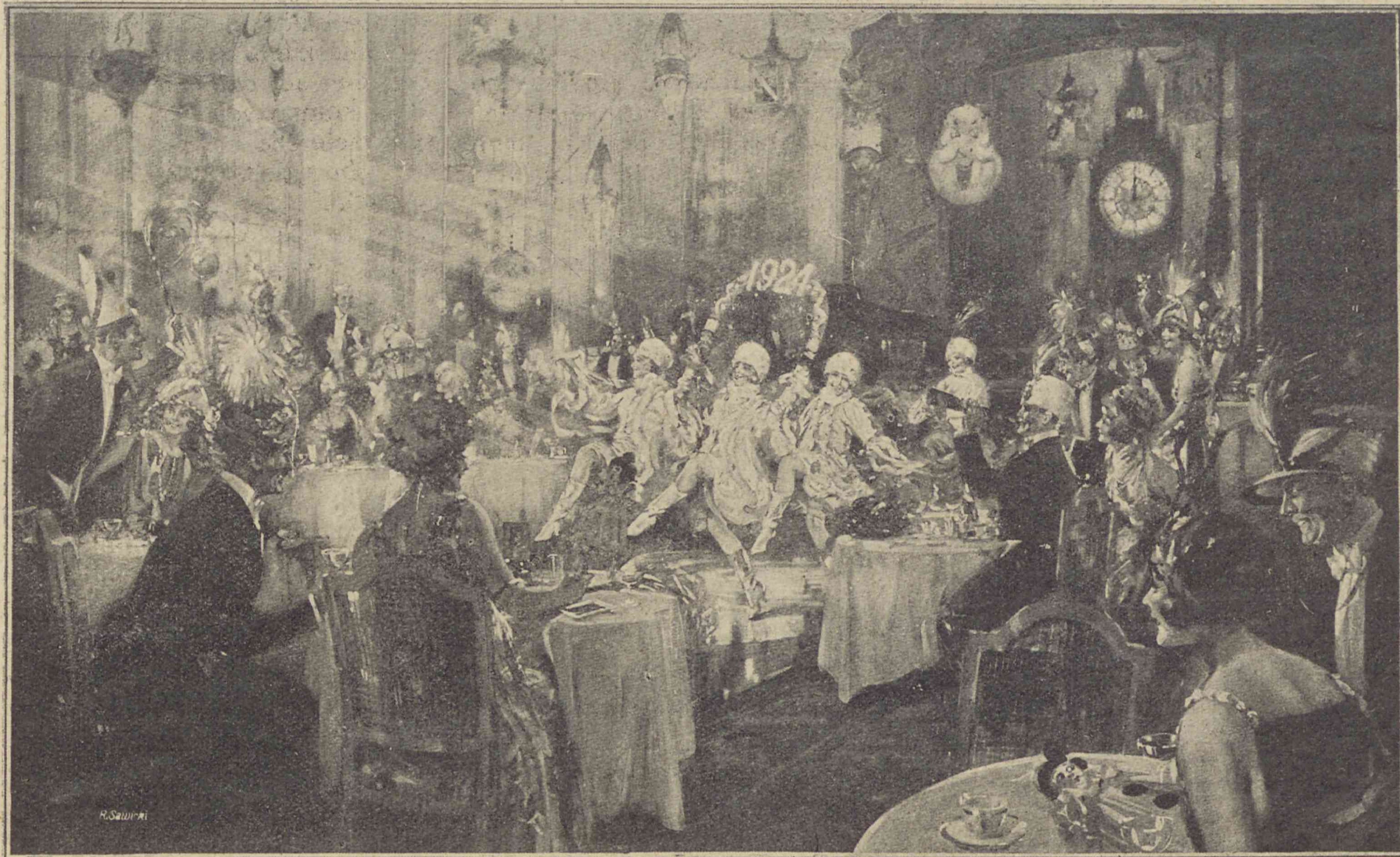


Mr. ALLAN CRAWFORD, przywódca wyprawy polarnej na wyspy Wrangla na oceanie Lodowatym Zmarł on wraz z całą ekspedycją z wycieńczenia. Wyspy Wrangla od r. 1913 zostały wzięte pod władzę Wielkiej Brytanji.



ADA BLACKJACK, eskimoska, jedyna osoba z wyprawy Crawforda, która ocalała i dała znać o śmierci uczestników tej nieszczęsnej ekspedycji.

Jak spotykano Nowy Rok w Londynie.



Towarzystwo angielskie zawsze wesoło wita nowy rok. W restauracjach i salach restauracyjnych pierwszorzędnych hoteli zwykle bywa huczno i rojno. W roku bieżącym wszystkie stoliki były na tydzień z góry zamówione. Specjalnie balet rosyjski miał powodzenie i w wielu lokalach o północy nadobne, zwiewne koryfeuszki rozpoczynały tańcem nowy 1924 rok.

Królewskie Kolegjum języków słowiańskich w Londynie.



1. Dr. Dragotin Subotic, lektor języka serbo-kroackiego, 2. Dr. Leonard C. Wharton, lektor języka polskiego. 3. Mr. A. Raffi, lektor języka rosyjskiego, 4 Ks. Dmitri Światopełk-Mirski, lektor literatury rosyjskiej, 5. Mr. N B. Jopson, lektor filologji słowiańsko-porównawczej, 6. Dr. O. Vocadlo, lektor języka czeskiego, 7. Baron Alexander Meyendorff, lektor prawa rosyjskiego, 8. Sir Bernard Pares, profesor historji rosyjskiej, 9. Prof. Roman Dyboski (de l'Université de Krakow) profesor historji polskiej, 10. Prof. R. W. Seton-Watson, profesor historji Europy Centralnej.

Mgły w Londynie.



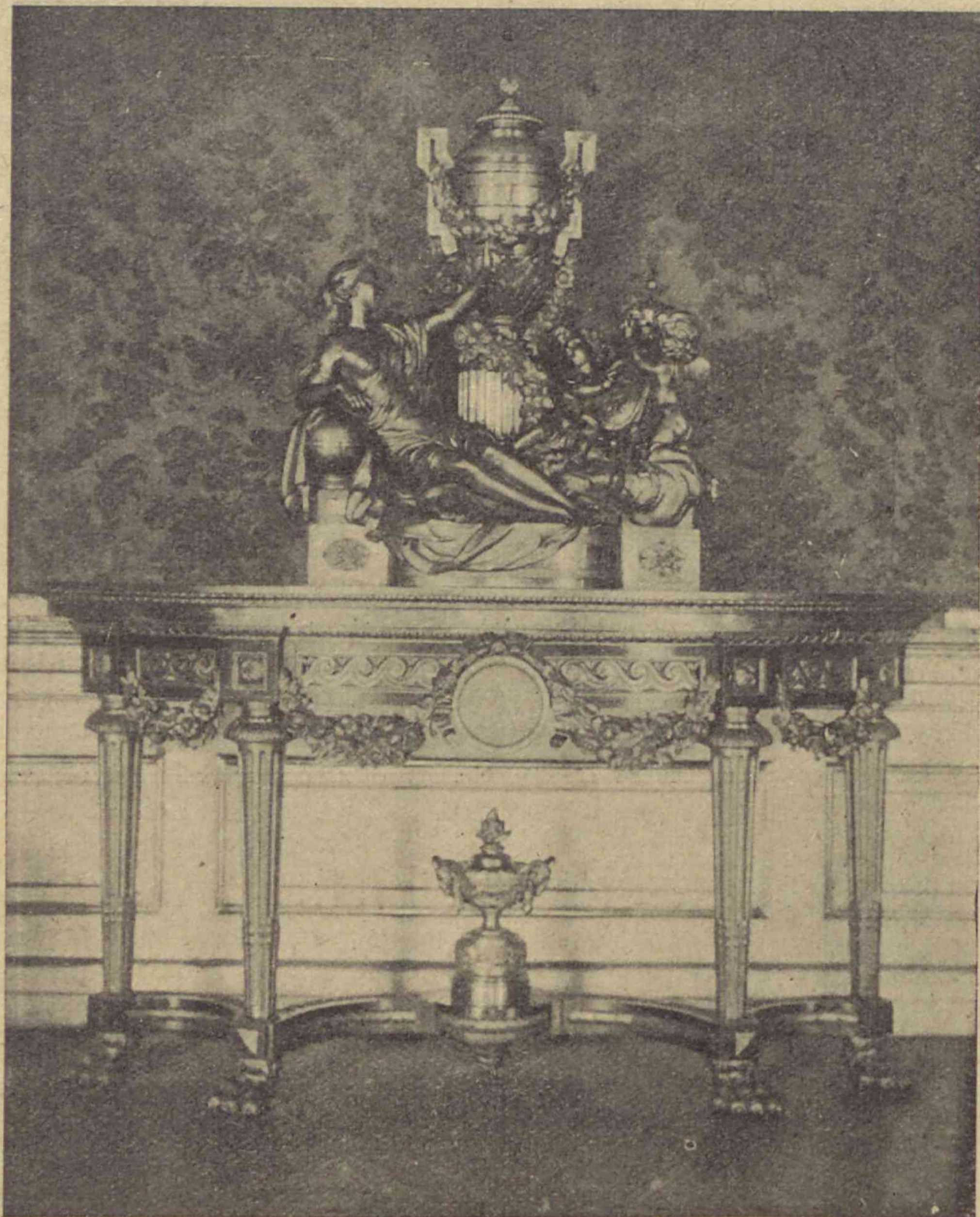
Londyn spowity obecnie jest w mgły. Wśród dnia często bywają zapalane latarnie uliczne.

NIEUZASADNIONA ATRYBUCJA.

Opisując wielki zegar w sali audjencjonalnej Zamku*), p. Mikołaj Piotrowski twierdzi, że „mógł on powstać w latach 1770 a nawet 1780". Pozwolę sobie mniemać, że jest on nieco wcześniejszy. Herb Ciołek na tarczy herbowej ma koronę hrabiowską. Od roku zaś 1764 Poniatowscy byli książętami. Więc albo się bardzo mylę, albo niktby już później nie chciał wytykać królowi, że przed koronacją był tylko hrabią. Zegar tedy musiał powstać przed 1764 r. Bije to zresztą z dzieła samego. Typ zegara, ukrytego w urnie i stojącego na półkolumnie, ustalony został przez Falconeta jeszcze przed jego wyjazdem do Petersburga w 1767. Najniepotrzebniej w świecie p. Piotrowski wdał się w dociekanie, kto był autorem zegara zamkowego. Toć na urnie jest napis wielkiemi literami: Le Paute de Belle Fontaine. Wprawdzie Lepaute dostarczał niekiedy mechanizmów zegarowych innym bronzownikom, ale wtedy się podpisywał na tarczy zegarowej. W tym wypadku byłby, rzecz pewna, położył swój podpis na żelaznej taśmie, należącej do maszynerji. Tymczasem znak firmowy wyryto w bronzie. Zatem nietylko werk, lecz i cała kompozycja, nie wyjmując zapewne i okazałej konsoli, pochodzi z zakładu bronzowniczego braci Lepaute'ów. (P. Piotrowski pisze *„konsolka"*. Konsekwentnie wypadałoby napisać *zegareczek*, konsola bowiem większa od zegara. Anglicy zowią takie zegary: „Monumental Clock").

Szanowny autor artykułu sądzi, że styl Ludwika XVI powstał dopiero „po śmierci Louis XV (1774)". Tymczasem zegar, tak zw. Avinjoński, w Wallace Collection, noszący datę 1771, figuruje w katalogu jako *„made in last years of the reign of Louis Quinze in the so-called Louis-Seize Style"*. Najsłynniejsze falconetowskie zegary z przed 1767 r. w Luwrze i Hertford House mają napisy: *„Comm! de l'époque Louis XVI"*, *„Style and Period of Louis Seize"*. Zegar zamkowy należy właśnie do przejściowego, najświetniejszego okresu tak zw. stylu Ludwika XVI. Z tego czasu są trzy pary kandelabrów Filipa Caffieriego w Sali balowej.

Najwybitniejszym bronzownikiem przebujnego stylu rocaille, czyli Ludwika XV, był Jakób Caffieri. Bronzy wówczas, lubo piękne, cyzelowane były pobieżnie, szkicowo.



Zegar w sali audjencjonalnej Zamku warszawskiego.

Dopiero wielcy mistrze tak zw. stylu Ludwika XVI z przedziwną i wciąż rosnącą szybkością pogłębili kunszt cyzelerski, dobywając z bronzu coraz nowe, coraz świeższe efekty. Łagodne i zmienne światła nie ślizgają się odtąd po powierzchni przedmiotów, lecz przenikają je wskroś i rozjaśniają do głębi. Cyzelowanie zegara zamkowego zdradza technikę starej szkoły wykończeniem swojem. Sądzę, że model istniał przed r. 1764. Z powodu koronacji Stanisława Augusta naprędce wykonano drugi egzemplarz, przyczem jakiś francuski może herb zastąpiono haniebnie wykończonym herbem króla polskiego. (Coprawda uszy kobiety i amora nielepsze). Wogóle zegar, choć imponuje monumentalnością, lubo skrzy się całym blaskiem okazałości swojej, ściśle mówiąc, dziełem sztuki nie jest. Jako kompozycja, jako odlew, robota cyzelerska i złocenie, stoi o całe niebo niżej od przepysznych kandelabrów w salach balowej i konferencyjnej, równie jak od wytwornych świeczników ściennych sali tronowej. Jak można było podobną robotę uznać za dzieło takiego mistrza, jak Piotr Gouthière! (p. Piotrowski pisze: „Pierre Gauthier, Goutier"). Rok temu opisałem bronzy zamkowe w „Kurjerze Warszawskim". Studjując zatem podczas tego lata Gouthière'a w Paryżu, Versalu, Fontainebleau i Londynie, miałem ten zegar dokładnie w pamięci. Nie jest on godzien nawet na żart udawać Gouthière'a. Nie mogę powtarzać wszystkiego, com już pisał o utworach tego mistrza. Poprzestanę na uwadze, że zegar zamkowy nie ma w sobie nic zgoła z tego głębokiego rozmysłu artystycznego, tej dostojności, tych miękkich tonów, tego wytwornego wdzięku, ruchu, świeżości, tajemniczego uroku, który zapewnia dziełom Gouthièr'a zupełnie odrębne miejsce w sztuce. Nie potrzebował on podpisywać swoich bronzów. Duch jego kładł na nich swoje piętno. Wbrew informacjom p. Piotrowskiego twórczość jego trwała bardzo krótko. Od r. 1758 ma on własny zakład na Quai Pelletier. Tworzy dla dworu francuskiego i małego grona wytwornych, bardzo wrażliwych, bardzo subtelnych, przerafinowanych sybarytów, jak ks. d'Aumont, jego córka, księżna de Mazarin, wreszcie p. Dubarry. Bronzy, któremi się szczycą największe zbiory europejskie, pochodzą wyłącznie z tych czterech źródeł. W r. 1777 wskutek niewypłacalności pani Dubarry bankrutuje i porzuca pracę. O tem, by koło 1770 miał przyjmować zamówienia od Lepaute'a, nie może być mowy. Jego rachunki z tą firmą, która nieraz dostarczała mu mechanizmów zegarowych, dokładnie są znane.

Mówiąc o Gouthièrze, p. P. po-

---

*) „Meble i bronzy w Zamku Królewskim" p. № 49 Tygodnika Ilustrowanego 1923 r.

minął takie arcydzieła, jak komin w Wersalu, świeczniki ścienne w Pawłowsku, brûle-parfum w Hertfort-House i wiele innych. Każde z nich samo jedno starczyłoby na zdobycie nieśmiertelnej sławy. Wymienił tylko nie istniejącą skrzynkę i niefortunny zegar Avinjoński. Kompozycja Boizota do tego zegara jest nudna i ckliwa. Zdumiewający talent Gouthière'a i z niej potrafił wykrzesać coś niepospolitego. Całość wygląda, jakby była z czystego złota. Bo też Gouthière złocił swoje bronzy wyjątkowo starannie i grubo. Następnie mieszaniną chemiczną, której był wynalazcą, nadawał złotu wykwintną matową barwę. Nie dziw tedy, że otrzymawszy w darze od Gouthière'a bronzową różę, Marja Antonina wzięła ją za szczere złoto. Skąpa pozłota naszego zegara przy gouthièrowskiem złocie dość sobie mizernie odbija.

Jeżeli tak mówię, to pewno nie dla zlekceważenia, obniżenia wartości niezwykłego zabytku, który, jako świetna dekoracja pałacowa, ze wszech miar godny jest widzenia. Ale co innego strojna dekoracja, a co innego arcydzieło niezrównanego mistrza.

A co znaczy takie powiedzenie p. Piotrowskiego: „Philippe (sic!) Caffiery umarł w roku śmierci Louis XV (1774) i tem w bronzownictwie jakoby zamknął styl tego króla"? Naprzód Filip Caffieri umarł dopiero w 1777. Jeszcze w 1776 występuje on jako syndyk mistrzów ludwisarskich. A dalej, czyżby miał to być jedyny bronzownik schyłku Ludwika XV? Wszak jego działalność co do roku zbiega się z twórczością Gouthière'a. Obaj należą do głównych twórców stylu Ludwika XVI.

Jeszcze drobna już tylko poprawka do tego, co p. P. pisze o bronzach „Pierra (sic! czyli Piotra) Thomira". Zdaniem szanownego krytyka, wyroby słynnego tego artysty „nabierają rozgłosu w epoce cesarstwa". Powiedziałbym przeciwnie: *dyskredytują* się za Cesarstwa. Thomire był to najzdolniejszy pomocnik Gouthière'a. Z czasu, kiedy pracowali wspólnie, widzimy w Luwrze, Hertfort House, Ermitażu i u Alfonsa Rothschilda przedmioty cudnie piękne, co do których najwięksi znawcy są w kłopocie, któremu z tych dwu mistrzów je przypisać. Po bankructwie Gouthière'a w 1777, Thomire otwiera zakład na własną rękę. Jest on teraz coraz suchszy, sztywniejszy. Ale jeszcze z r. 1783 są w Luwrze jego wazony, do którychby się i Gouthière mógł przyznać bez ujmy dla swojej wiekowej sławy. Dopiero w XIX w. nastąpił upadek Thomire'a, kiedy musiał on przystosować swą sztukę do stylu Perciera i Fontaine'a. Jego robota w tym okresie jest jeszcze bardzo ścisła, umiejętna, ale już zimna, surowa, bezduszna, nudna, bez cienia niewolącego czaru i lotnej, kapryśnej fantazji, stanowiącej cały urok XVIII wieku. Do rzędu takich banalnych, szablonowych bronzów należą w Zamku wazony z podpisem Thomire'a.

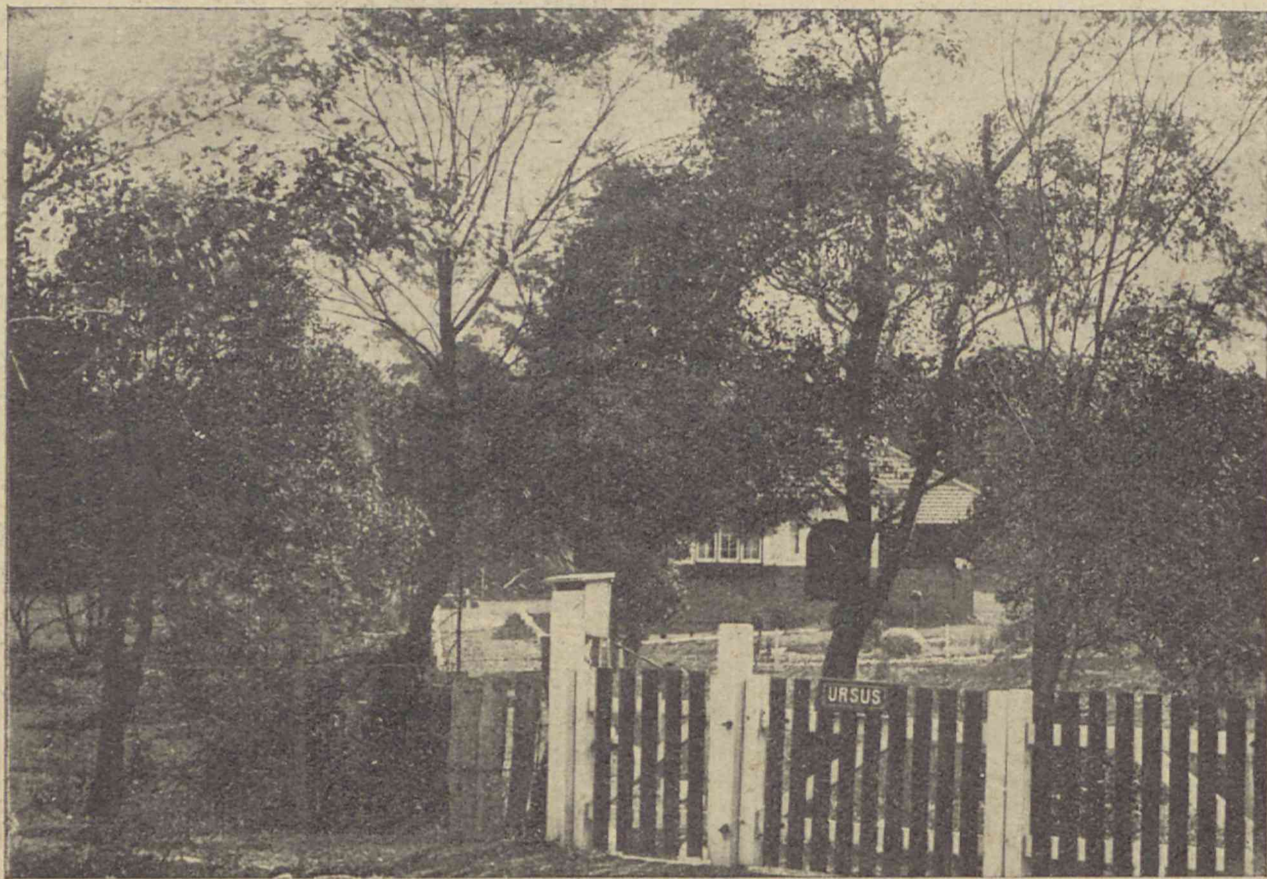
Ks. Karol Korsak.

Z egzotycznej krainy cudów nad Amazonką w Ameryce południowej.



Nad granicą Brazylji i Peru wdłuż rzeki Pulumayo koczują szczepy Ocainasów, Erayasów i Borasów. Kobiety z tych szczepów na uroczyste przyjęcia malują się różnemi farbami od dołu do piersi. Twarz pozostawiają o barwach naturalnych. Obyczaj ten zaprzecza w zupełności rozpowszechnionej paryskiej modzie: karminowania ust i pudrowania policzków: Podobno inowację tę chciał zaprowadzić jakiś wojskowy porucznik francuski wśród plemionów z nad rzeki Pulumayo. Wywołała powszechny protest, jako zjawisko niemoralne i nienormalne.

Dom polaka-emigranta w Australji.



Widok ogólny przed wejściem do domu p. Józefa Skowrońskiego wraz z ogródkiem i napisem na bramie „Ursus". W domu sufity i ściany, a nawet firanki malowane są ręką właściciela.

POLACY W AUSTRALJI.

Sydney 30 listopada 1923 r.

(Korespondencja własna).

Do jednej z rodaczek naszych, zamieszkałej w Sydney, zwróciliśmy się z prośbą skreślenia dla „Świata" korespondencji o życiu przebywających tam Polaków. Czytelnicy nasi niechybnie z zainteresowaniem przeczytają ten list z dalekich stron,—świadczący, że ślady życia polskiego wszędzie odnaleźć się dają.

Polaków w Australji nigdy nie było wielu. Nie łączyli się przytem. nie szukali wzajem zetnięcia, więc rozproszeni na dużem terytorjum, dość szybko się wynaradawiali. Niektórzy zapomnieli nawet ojczystej mowy..



Dr. Flatau, staruszek 90-letni.

Jednym z takich jest dr. Flatau, starzec dziewięćdziesięcioletni, który jednak zachował młodzieńcze siły i który budzi podziw bystrością i ruchliwością swego umysłu. Od dwudziestu pięciu lat porzucił już swą ulubioną praktykę lekarską, dni całe spędza w przepięknym Ogrodzie Botanicznym Sydney'a, wśród wspaniałej egzotycznej roślinności. Tutaj karmi ukochane swoje ptaszyny, które z zaufaniem siadają mu na głowie i na dłoniach.

Altanka, w której nasz doktór zwykł przebywać, położona jest na małem wzgórzu, skąd poprzez las palm niebotycznych i wyniosłych cyprysów roztacza się czarodziejski widok na część zatoki, prowadzącej do przystani, oraz na rozłożone na wyżynach przedmieścia.

Dr. Flatau, lubo przez los ciężko wypróbowany, zachował pogodę i wiarę w lepszą przyszłość. Żaluje tylko, że prawdopodobnie nie doczeka się już stałej komunikacji powietrznej między Australją i Europą, bo chętnie skróconą drogą poszybowałby do swego rodzinnego Płocka, gdzie lata dziecinne spędził. Pilnie śledzi w gazetach angielskich wszystkie wiadomości o Polsce, polskich czasopism jednak nie jest już w stanie czytać... A otrzymujemy tutaj „Kurjer Poranny", „Kurjer Poznański" i „Świat".

W Sydney mieszka jeszcze kilku Polaków z pochodzenia, ludzi zamożniejszych, którzy na australijskim gruncie dorobili się fortuny. Przyjęli oni wszakże obywatelstwo miejscowe, pochłonięci są interesami, stosunków z Ojczyzną nie utrzymują.

Najwięcej jest emigrantów, przybyłych w ostatnich latach, już to przed wojną, już po wojnie światowej. Ci okazują najwięcej energji, informują ludność miejscową o Polsce. Praca trudna, bo w Australji do niedawna prawie iż nie wiedziano o istnieniu Polski. Dzięki tym zabiegom udawało się nieraz zyskać pomoc materjalną.

W tej mierze, należy podnieść, największe usługi, jakie świadczy nasz obecny konsul Rzeczypospolitej, p. George Erap, który wraz ze swą żoną i córkami z wielką wytrwałością zbiera fundusze celem niesienia pomocy ofiarom wojny. P. Earp zainicjował również stosunki handlowe z Polską i pierwszy transport mebli giętych z kraju naszego niedawno właśnie przybył do Sydney.

Wychodźcy polscy przeważnie są niezamożni, muszą na życie zarabiać twardą i mozolną pracą. Mieszkają na przedmieściach, niektórym tylko udało się zdobyć własne domki, okolone ładnemi ogródkami. Do takich należy p. Józef Skowroński, artysta-malarz.

Ale warunki bytu i w Australji pogorszyły się w ostatnich czasach. Bezrobotnych coraz więcej. Kto w czasie właściwym nie zdobył materjalnego oparcia, ten teraz cierpi dotkliwie. Zwłaszcza jeśli nie jest fachowcem. I tem przykrzejsze są tutaj troski, że wokół przyroda tak piękna. klimat łagodny, — wszystko zda się upajać radością życia.

Polka.



Widok z domku № 2 na morze i kąpiele w „Cooyee".



Ranne zmywanie pokładu; wachta, pod przewodnictwem bosmana Leszczyńskiego (z wąsami i fajką).

„POD POLSKĄ BANDERĄ".

PODCZAS CISZY MORSKIEJ.

...W słonecznym upale, dochodzącym w słońcu do 45 stopni Celsjusza, paruje pokład, a w chybotliwym ruchu poprzez martwą falę zatacza się statek. Żagle, bezwładne i opuszczone, przy każdem pochyleniu się masztów trzepoczą rozpaczliwie, klaszcząc charakterystycznie szotami. W rytm powolny układa się piskliwy zgrzyt stęg, a bukszpryt (maszt poziomy na dziobie) czyni, w miarę kołysania się statku, dziwaczne ósemki. W białych hełmach, zasłaniając się skrzętnie od palącego słońca, snują się ludzie senni i rozleniwieni, ostrożnie stąpając bosą stopą po rozpalonym pokładzie.

Nasz telegrafista tylko, jak zwykle, nie traci rezonu i z nieodłączną fajeczką w ustach przemyśliwa nad nowemi sposobami rybołówstwa...

Nagle, gładką powierzchnię wody (mimo martwej fali) przecina ostra i wydłużona pletwa.

— Rekin!

Kto żyw, rzuca się do burty obserwować groźnego ludojada. Ciemne cielsko wolno i niedbale krąży koło rufy, dwie małe rybki w żółto czarne krążki (jak u zebry), płyną obok, wyglądając zdobyczy. Są to tak zwane rybki-piloty, które, gdy ujrzą kąsek odpowiedni dla rekina, podpływają szybko, by, jak wojskowy wywiadowca, sprawdzić ją i wróciwszy do żarłacza, lekkiem stuknięciem napędzają go na ofiarę... Zastępują w ten sposób olbrzymowi słabo rozwinięty wzrok, a pożywiają się resztkami uczty.

Chłopcy poczęli karmić kawałkami chleba potwora. Przewracając się do góry białem podbrzuszem, chwyta w olbrzymią paszczę jedzenie i połyka...

Wraz więc z rufy na długiej mocnej linie rzucono hak żelazny z kawałem rybiej przynęty.

Głupiec!... Złapał się! Od potężnego zwarcia paszczy hak aż przebił podniebienie i wyszedł na zewnątrz przez oko. Niewielka, jak na rekiny, bestja (do 2 i pół metra) rzuca się piekielnie, ale przeklęty hak wbija się właśnie coraz bardziej. Wokół krążą bezradnie rybki-piloty.

— Dajcie karabiny, karabiny!

Kapitan i oficerowie otwierają „regularny" ogień. Po każdym trafnym strzale żarłacz wyskakuje z wody w górę i miota się rozpaczliwie. Wnętrzności wypływają, jednak potwór żyje. Piętnaście kul pakują w targane konwulsjami cielsko. Wreszcie nieruchomieje. Spuszczono linkę, i, na pętlę zaczepiwszy ogon, wyciągają na pokład.

— Uciąć, prędko uciąć ogon!

— Chlast, chlast, odrzyna bosman ogonisko, a mordowany rekin jak się nie rzuci!

Kto stał niedaleko, w nogi.

Zadziwiająca jest rzeczywiście siła żywotna tych krwiożerczych mieszkańców wodnych odmętów. Serce, trzymane w ręku, jeszcze w przeciągu dobrej minuty pulsuje. W żołądku znajdujemy wielką ilość niestrawionego solonego, suszonego sztokfisza*), który był u nas na obiad parę dni temu. Musiało więc rekinisko dawno płynąć za „Lwowem". Gdyby tak kto wypadł za burtę. Brrr... Dziękuję za przyjemność.

Po rozprawie z rekinem chwilowe podniecenie szybko mija. Upał bierze górę i panuje wszechwładnie. Wreszcie nadchodzi zbawczy wieczór. Słońce, zachodząc, chowa się poza zgrabnie zarysowaną chmurę, obryzganą fioletami i różową miedzią, z poza niej wypuszczając pasy złota i srebra lub rozdrabiając się w tysiączne groty i odbłyski, jak świeca w ciemnościach ręką od wiatru przysłonięta. Szafiry nieba, utraciwszy swą nieskalaną niebieskość, w zieleń młodej trawy się przybierają, gdzieniegdzie jeno, jako kwiatami na łące, barwiąc się purpurą,

*) Dorsza, po kaszubsku pomufla.



Paczka stołu № 1. Stoją od lewego: Cieślak (siedzi na barjerze), Pawłowicz, Kosko, Cedro, Fedorowicz, siedzą: Ćwikliński, Cienciała, Zagrodzki.

fioletami, bielą lub „orange“ obłoków.

Nagle zapada noc.

Miły chłód (w porównaniu do temperatury dziennej) owiewa nas wszystkich, a zobojętniała dotychczas myśl poczyna pracować.

Dzwon okrętowy wybija siódmą wieczór.

— Lampy się palą!

Słychać przeciągły okrzyk z baku (dziobu okrętu). To wartownik „na oku“ daje znać, że czuwa i że lampy pozycyjne w porządku.

Cała załoga „Lwowa“ skupia się na sterburcie, rozsiadłszy się pod rostorami na zapasowej stendze, lub pod ścianą kabiny nawigacyjnej. Jeden z Kaszubów gra na harmonji, ktoś dzwoni w klin stalowy, a ta niewyszukana muzyka potrafi nawet wzruszyć.

Mimowoli żywiej zaczyna bić serce i tęsknota do bliskich i w kraju zostawionych tam daleko, daleko delikatną siecią je oplata...

Ale wraz beztroska młodzieńcza bierzę górę.

„Hej tam widać żagle
Wyjeżdża nasz „Lwów“ już na morze,
Hej nie płacz dziewczyno,
Bo smutek i żal nie pomoże.
Jadą oni, jadą poprzez wód wirażе
Zuchy bo to chłopcy marynarze.
Hej dziewczyno, hej jedyno
Ukochana, czemu łkasz?
My wrócimy znów zza morza
To buziaka wtedy dasz“.

Gwiazdy migotliwemi oczyma przyglądają się z góry, a zpoza wyraźnej linji zaznaczonego horyzontu wypełza rogalik wiecznie roześmianego księżyca... Długą srebrzystozłotą drogę mości po gładkiej, równej, a jednak rozkołysanej tafli oceanu, aż ku nam. Czarny kadłub „Lwowa“ tem wyraźniej się odcina, a woda, snać zazdroszcząc świateł niebiosom, fosforyzować poczyna. Tu i tam przepłynie ryba, jasną smugę za sobą pozostawiwszy, a koło burt powstaje okrężny, błyszczący pas. Pomiędzy lustrzanemi wzgórzami martwych fal jakby setki miljonów złotych iskierek, ukazuje się i znika.

Subtelnym, nieznacznym oddechem musnął wiatr rozpalone policzki ludzi.

— Hej, koledzy, będzie wiatr!

Nastrój się zmienia momentalnie; zda się, że wszystkie twarze wśród nocy rozpromieniają się radością.

— Teraz chyba popłyniemy tym halsem i tą szybkością aż do Rio de Janeiro, majaczy jakiś fantasta. —

— No, a w Rio co?

— Listy, braciszku... listy!

Bohdan Pawłowicz.

Atlantyk. Na pokładzie statku szkolnego „Lwów“.

Nowy tom opowiadań Andrzeja Struga.

KRONIKA ŚWIECIECHOWSKA.

Życie prowincjonalne ma w sobie wiele elementów ekscentrycznych. Przeważnie nasuwa się obserwacja obyczajowo-satyryczna. Na tej strunie wielu beletrystów wygrywało śmieszne melodje o ludziach, rzeczach i wydarzeniach małych miast i wsi. P. Andrzej Strug poszedł inną drogą. Śledzić począł „małego biesa“ prowincji. Życie prowincjonalne kryje w sobie takiego drobnego, śmiesznego w tragedji i tragicznego w śmiechu czorta. Chadza on sobie po zaułkach małych miasteczek i wyrządza ludziom figle. Żarty tego czorta niekiedy bawią, niekiedy przejmują oburzeniem. Żartom tym brak wielkości; są one przeważnie tak grząskie, jak ulice tych małych miast.

Trzeba jednak lubić tego szatana, by odtworzyć harce jego po dworach małomiejskich. Wymyka się bowiem ten „drobny bies“ z pod obserwacji, gdy się do niego przystępuje w pasji.

Strug umiał podpatrzyć tego „małego biesa“ życia prowincjonalnego. Otoczył go nawet pewnym sentymentem. Chwilami przecież ten prowincjonalny demon symuluje piękno, tradycję, idealizm. Grzęznie jednak w bierności swoich majaczeń, neurastenji i mgławic. Gdy wybucha płomieniem, to jest on jak błędny ognik, jarzący się po torfowiskach. Ucieleśnia się w losach pierwotnej, dzikiej Krystki i w niemrawych perypetjach Chińczyka. Przejmuje smutkiem, gdy niesamowicie wyziera w obłędnych oczu pigularza, nawiedzonego przez Lorda Camelforda. Wzbudza sentyment dla lamusowych postaci guwernerów z dawnych pańskich dworów i złej doli ostatniej Chłusowiczówny. Odżywa wszystkiemi tonami północnych cieniów w „śmierci Chińczyka“ czy też neurastenji „Italji“.

Tom opowiadań tych, zamkniętych w ogólny tytuł „Kroniki Swieciechowskiej“, jest bardzo jednolity, jeżeli chodzi o plastykę obserwacji. Narracyjnie jednak najciekawsze są opowiadania „Naokoło Świata“ i z „Kroniki Świeciechowskiej“.

Pierwsze opowiadanie „Naokoło Świata“ jest artystycznym konspektem życia pewnej wiejskiej Krystki, która w pogoni za swoim losem objechała całą kulę ziemską. Drobny bies prowincjonalny nie daje jej spokoju pod żadną szerokością geograficzną. Nie może ona ukoić się niczem, nie dlatego, iż jej pragnienia sięgają w krainy niemożliwości. Jest to sobie zwykła Krystka pierwotna w swojej erotycznej pasji, błędna gwiazda już przez swoje przeznaczenie, niszczący kometa przez istotę swojego istnienia.

W „Kronice Świeciechowskiej“ zaciekawiają znów postacie dwojga starych guwernerów z pańskich dworów. Postacie te, wiszące u pańskich klamek, znamy już z legendy. W opowiadaniu Struga odżyły one znów i pokazują tylko stronę uczuciową ich pięknej egzystencji. Dobroć, szlachetność, idealizm, nieziemskość niemal w stosunkach międzyludzkich charakteryzuje te postacie, z lamusa wspomnień wyjęte. Warto się im przyjrzeć bacznie. Na prowincji tego rodzaju latorośle spotyka się jeszcze niekiedy. Nie można powiedzieć, by w czystej, artystycznej projekcji. Mają one w sobie i domieszki śmiesznostek, „oryginalność“, ale bądź co bądź typy te są inne w swojej istocie, niż wielkomiejskie maszkary. „Drobny bies“ ich psychiki zaciekawia pod innym zupełnie kątem, niż bezmiar nędzy, podłości, rozmachu i bogactwa wielkiego miasta.

Nowy ten tom prozy Andrzeja Struga świadczy o niesłabnącej inwencji tego pisarza. Zaleca się też porządną, solidną szatą literacką. Strug nad swoją prozą pracuje w sposób godny podziwu. Nie dowierza on lekkiej płynności zdania. Rzeźbi słowo za słowem, dobywając z niego czystość linji i niezawodność charakterystyki.

Nowy ten tom „Kroniki Świeciechowskiej“ Andrzeja Struga wzbogaca jego twórczość, posiadającą w swoim dorobku takie pierwszorzędne książki, jak, „Ludzie podziemni“, „Jutro“, „Dzieje jednego pocisku“, „Pieniądz“ i „Mogiłę nieznanego żołnierza“.

Wśród beletrystów polskich Strug w naszych obecnych czasach wysuwa się na miejsce czołowe.

Eustachy Czekalski.

SZTUKA SŁOWIAŃSKA.

Wszystkie narody i szczepy słowiańskie wytworzyły własną, bardzo żywotną i piękną sztukę ludową. Dość jest przejść się po ulicach którejkolwiek ze stolic słowiańskich, aby spotkać mieszkańców wsi okolicznych, ubranych w barwne tradycyjne stroje, często bardzo wykwintne lub bogate. W dzielnicach handlowych zwracają uwagę obficie zaopatrzone sklepy z wyrobami miejscowego ludowego przemysłu artystycznego. Piękne muzea etnograficzne, pocztówki, fotografje, publikacje poświęcone krajowej sztuce ludowej dowodzą ogólnego zainteresowania temi sprawami.



Kostjum chorwacki.

Nic podobnego nie widzimy w miastach francuskich, angielskich lub niemieckich. Sztuka ludowa prawie zupełnie tam zamarła, a raczej prawdopodobnie przetworzyła się i wsiąkła w style historyczne, romański, gotycki, poczęści renesans i barok.

Przy bliższem zaznajomieniu się ze sztuką ludową słowiańską zwracają uwagę nadzwyczajne podobieństwa, wprost analogje między produkcją poszczególnych szczepów. Taki sam, nigdzie indziej nie spotykany ornament, widzimy na hafcie czeskim i kaszubskim, skrzyni zakopiańskiej i bośniackiej. Trudno odróżnić wełniaki łowickie i sieradzkie od huculskich lub bułgarskich. Kostjum chorwatów i ukraińców podkarpackich jest prawie identyczny. Przykładów takich jest bez liku.

Dadzą się te podobieństwa wytłomaczyć poczęści tem, że wiele motywów dekoracyjnych i sposobów technicznych używanych było jeszcze przez prasłowian, znami się rozeszli po Europie i podzielili na szczepy (jak to jest dowiedzione dla mnóstwa słów i form gramatycznych), ale musiał także działać wspólny rasowy instynkt dekoracyjny, który wybierał i na swój sposób przerabiał motywy sztuki obcej. Zastanawiające jest, że, mimo bezpośredniego sąsiedztwa z Zachodem, dają się zauważyć duże bardzo wpływy sztuki wschodniej, specjalnie perskiej, i ornamentu renesansowego, pozostającego pod wpływem wschodnim. Wpływy gotyku, sztuki klasycznej lub barokowej są bardzo małe.

Wspólne jest wszystkim sztukom ludowym słowiańskim—zamiłowanie do kolorów jasnych i jaskrawych—najchętniej są używane—biały, koralowo-czerwony, rzadziej żółty i zielony.—Motywy najczęściej zaczerpnięte są ze świata roślinnego,—mocno stylizowane kwiaty i liście, doprowadzone do form prawie geometrycznych, ornament użyty jest wstrzemięźliwie, z dużem poczuciem symetrji i rytmu.

W ostatniem dwudziestoleciu wśród artystów i publiczności narodów zachodnich było ogólne zainteresowanie sztuką prymitywną i ludową. Zwrócono również uwagę na sztukę ludową narodów słowiańskich. Pojawiły się, szczególnie w Anglji i w Niemczech, piękne bardzo publikacje o sztuce ludowej słowackiej, czeskiej, chorwackiej czy rosyjskiej, wystawy przemysłu ludowego tych krajów miały duże powodzenie, współcześni dekoratorzy zapożyczają ornamenty i pomysły dekoracyjne. Obecnie sztuka ludowa poszczególnych narodów słowiańskich jest znana i ceniona na całym świecie.

Sztuka ta jest wytworem prawie wyłącznie ludności wiejskiej, chłopów albo drobnych rzemieślników.

Stan rycerski, szlachta, sztuką zajmować się nie mogła, ani nie chciała. Mieszczaństwo słowiańskie wytworzyło w Czechach i Polsce przy końcu średnich wieków pod wpływem sztuki gotyckiej piękną bardzo rzeźbę i malarstwo; w tym samym czasie sztuka bizantyjska pięknie się rozwijała na Ukrainie, w Rosji, Serbji i Bułgarji, ale klęski polityczne lub ogólny nizki stan kultury zahamowały rozwój tych poczynań.



Jan Stinsa. „Portret aktora Vojana" bronz.



Kostjum czeski.

Dopiero w wieku XIX, a właściwie w drugiej jego połowie, pojawiły się we wszystkich krajach słowiańskich całe plejady bardzo utalentowanych, czasami wprost genjalnych malarzy i rzeźbiarzy. Wielu z nich potrafiło zyskać uznanie i sławę w stolicach i centrach współczesnej sztuki. Dość wspomnieć sukcesy Matejki, Brandta i Siemiradzkiego w Paryżu, Monachjum i Rzymie, entuzjazm, jaki wzbudziły rosyjskie dekoracje teatralne w całej Europie i Ameryce, sławę rzeźbiarzy jugosłowianina Mestrowicza i czecha Jana Sturży, powodzenie wystaw czeskiej i polskiej w Paryżu.

Równocześnie ze zbiorową polską wystawą była otworzona w Paryżu wystawa obrazów narodu o tak wspaniałej tradycji i kulturze artystycznej, jak holendrzy. Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że sztuka polska jest żywotniejsza, bardziej interesująca, lepsza od współczesnej sztuki holenderskiej W Praskiej Narodowej Galerji wiszą naprzeciw siebie obrazy malarzy czeskich i niemieckich. Czeskie jasne, harmonijne, często stylizujące i idealizujące rzeczywistość—niemieckie o kolorycie ciemnym albo pstrym, o kompozycji zagmatwanej, zaciekle realistyczne albo bez żadnego



Jan Zrzavy. „Księżyc".



Jan Stinsa. „Dziewczyna z winnem gronem" bronz.



Święty Wacław.

związku z rzeczywistością (ekspresjoniści). Większe uzdolnienie czechów do malarstwa bije wprost w oczy. Jugosłowianie, oprócz Mestrowica, mają świetnych malarzy i rzeźbiarzy Dobrovica, Racica, Uzelaca, Palaviciniego, których prace przyniosłyby zaszczyt sztuce każdego narodu. Ukraińska sztuka rozwija się bardzo interesująco.

Sztuka słowiańska naogół nie jest bezwzględnie oryginalna; ulegała dużym wpływom sztuki zachodniej, ale artyści słowiańscy w specjalny sposób na wpływy te reagowali. Wspólne jest im wszystkim zamiłowanie do kolorów jasnych i czystych, kompozycji przejrzystej, wyraźnie określonych form,—te same cechy, któreśmy znaleźli w sztuce ludowej. Zadziwiające jest, do jakiego stopnia podobni są do siebie poszczególni artyści słowiańskich narodów—taki Józef Manes do Grottgera, Brozik i Czermek do Simlera i Gersona, obrazy Uprki o tematach ludowych trudno prawie odróżnić od obrazów Tetmajera. Współcześni pejzażyści czescy zupełnie podobnie interpretują impresjonizm francuski, jak uczniowie Stanisławskiego.

Napewno nie dałoby się wyszukać tak licznych podobieństw między sztuką polską a niemiecką lub angielską—z rosyjską lub jugosłowiańską byłoby to dużo łatwiej.

Dotychczas rasowy instynkt artystów po swojemu przerabiał kierunki, idące z Zachodu. Dopiero w ostatnich latach także wśród oświeconych klas narodów słowiańskich zaczyna się formować istotnie oryginalne malarstwo i zdobnictwo (także architektura), poczęści nawiązujące kontakt lub wzorujące się na własnej sztuce ludowej, a poczęści dające wyraz odmiennemu temperamentowi i ideałom artystycznym tych narodów. Wobec ich tak wyraźnego uzdolnienia i zamiłowania do sztuk plastycznych jest rzeczą bardzo prawdopodobną, że powstanie (a może już istnieje) obok sztuki zachodniej i zamierających sztuk wschodnich nowa wielka sztuka, sztuka słowiańska.

Szczęsny Rutkowski

Szkoła Handlowa w Częstochowie.



Gmach szkoły Handl. w Częstochowie.

Poświęcenie szkoły Handlowej w Częstochowie.

Dnia 20 b. m. w Częstochowie poświęcony został nowy dwupiętrowy gmach szkoły handlowej, wzniesiony kosztem ofiar dobrowolnych miejscowego kupiectwa za inicjatywą zarządu Stow. Kupców Polskich w Częstochowie.

Aktu poświęcenia dokonał miejscowy biskup J. E. ks. Krynicki w asystencji licznego duchowieństwa, władz administracyjnych, samorządowych i różnych korporacji.

Szkoła handlowa w Częstochowie jest bardzo pożyteczną i potrzebną placówką wychowawczą. Dostarcza ona pożądanego kontygentu pracowników biurowych i rachunkowych dla przedsiębiorstw naszych przemysłowych i handlowych.



Prezes St. Kup. Pol p. Jerzy Cholewicki.

Jak wygląda chudoba osadnika wojskowego?



ŁYSOCHO. Osada braci Sierpińskich.

OSADNICY WOJSKOWI.

Sprawę osadnictwa wojskowego na Wołyniu, tak bardzo dziś aktualną, oświetla nasz korespondent, który bawił niedawno w Łucku. Informacji udzielił mi p. Kazimierz Jonisz, członek Wołyńskiej Komisji Odwoławczej z ramienia Ministerstwa Rolnictwa.

— Akcja osadnictwa wojskowego—mówi p. Jokisz—rozpoczęła się na wiosnę 1921 roku, kiedy to skierowano na Wołyń t. zw. kolumny robocze, wydzielone przez poszczególne jednostki wojskowe. Kolumny te zajmowały na osadnictwo majątki opuszczone przez właścicieli lub niezagospodarowane. To zajmowanie majątków odbywało się bez żadnego planu, przyczem nadmienić należy, że skład kolumn był bardzo rozmaity pod względem fachowo-rolniczym. Bywały bowiem kolumny złożone z ludzi różnych zawodów, np. z krawców, szewców, stolarzy, fryzjerów, pozbawione natomiast choćby jednego człowieka obeznanego z rolą. Osadników tych kwalifikowała wojskowość na zasadzie zasług bojowych, co nie zawsze szło w parze z fachowością pod względem rolniczym. Jesienią roku 1921 kolumny robocze zostały rozwiązane przez ministerstwo Spr. Wojsk. i osadnicy, częściowo indywidualnie, częściowo grupowo zostali osadzeni przez Powiatowe Komitety Nadawcze, którym z urzędu przewodniczył starosta danego powiatu. Cała jednak akcja osadnictwa szła powoli, a to dzięki chaosowi, jaki wprowadziły kolumny robocze, trudnościom przy pomiarze gruntów (brak gieometrów), a wreszcie dzięki temu, że nie dano osadnikom budulca. Planowa akcja i uporządkowanie tych spraw zaczęły się dopiero z chwilą rozpoczęcia prac przez t. zw. Komisję Odwoławczą, w skład której weszli wojewoda wołyński, jako przewodniczący, prezes Okręgowego Urzędu Ziemskiego, oraz delegaci M-stwa Rolnictwa, Skarbu i Spr. Wojskowych. Pierwsze posiedzenie Komisji Odwoławczej odbyło się w czerwcu 1921 roku.

— A jaki jest stan obecny spraw osadniczych?

— Do dnia dzisiejszego przyjęto około 120.000 ha ziemi, z tego na osadnictwo wojskowe około 50.000 ha (już rozdysponowano i pomierzono), na reformę rolną około 30 000 ha, kilkaset hektarów przekazano szkołom powszechnym, reszta ziemi jest obecnie w pomiarach. Nadmienić należy, że wszystkie ziemie cerkiewne zasadniczo przeznaczone są dla ludności miejscowej, co jest podyktowane względami politycznemi.

— Jak wielka jest liczba osadników wojskowych na Wołyniu?

— Ogółem na Wołyniu zatwierdzonych zostało 3.667 osadników, z których 2.799 pracuje już na swoich pomierzonych ostatecznie działkach. Grupowo władają działkami 434. Oczekuje jeszcze nadania 534.

— Czy wszyscy osadnicy osiedli już na swych działkach?

— Niezagospodarowanych działek jest minimalna ilość. W chwili obecnej gospodaruje osobiście 2.700 osadników, zaś około 350 gospodaruje przez swoich plenipotentów. W roku bieżącym za niezagospodarowanie się zostało usuniętych 15 osadników, co wpłynęło b. dodatnio na innych opieszałych osadników i pobudziło ich do szybkiego podjęcia gospodarki na swych działkach.

— Jaki jest przeciętny rozmiar działki?

— Minimalne działki wynoszą 7 ha, maksymalne 42 ha. Średnia działka normalna wynosi od 10—15 ha.

— A gdzie najwięcej jest osadników?

— Najgęściej osadzeni są oni w powiecie krzemienieckim, gdzie jest 800 osad. Drugie miejsce zajmuje powiat rówieński—około 700 osad, następnie powiat dubieński—około 600 osad. Najmniej osadników posiada powiat ostrogski—136 i lubomski—106 osad. Nadmienić należy, że największa ilość osadników pochodzi z Małopolski. Małopolanie stanowią $^{3}/_{4}$ ogólnej liczby osadników. Następne miejsce zajmuje Kongresówka i Poznańskie. Najmniej osadników pochodzi z kresów. Najlepiej zorganizowani są osadnicy w pow. dubieńskim i włodzimierskim, gdzie posiadają swoje dobrze prosperujące kooperatywy, sklepy i t. p. Zawdzięczają to oni głównie grzedstawicielom M. Spr. Wojsk. W powiecie dubieńskim na czele osadników stoi major Matczyński, obrońca Dubna, człowiek idejowy i przedsiębiorczy. W powiecie włodzimierskim—zajmuje się z samozaparciem sprawami osadników porucznik Strójwąs.

— Byłoby bardzo pożądane — podejmuje naraz p. Jonisz—gdyby pan zechciał się przejechać po osadach i zobaczyć na własne oczy, jak one wyglądają.

Propozycję tę przyjąłem z zadowoleniem.

Ba! Łatwo jest coś projektować, ale trudniej wykonać, szczególniej wówczas, gdy się niema do rozporządzenia odpowiednich środków lokomocji.

Wyratował nas z kłopotu dopiero prezes okręgowego Urzędu Ziemskiego, p. Stanisław Krupski, który z całą uprzejmością udzielił nam własnych koni i powozu. Nazajutrz z samego rana wyjechaliśmy więc na zwiedzanie osad, zabrawszy z sobą referenta rolnego województwa p. Czerwiowskiego i komisarza ziemskiego, p. Hulewicza.

Pierwsze osady zaczynają się w odległości 7 kilometrów od Łucka. Jest to kompleks osad pod nazwą Połonka.

W jednej osadzie spotyka nas sam właściciel, Sawicki. Jest to b. ułan z legjonów, pochodzi z Piotrkowskiego. Sprawia wrażenie dzielnego człowieka. Na pytanie, czego mu najwięcej brakuje w gospodarstwie odpowiada:

— Kredytu!

— No przecież dostajecie jakieś pożyczki rządowe, zauważam.

— Tak, tylko z tym kredytem, to jest nie tak dobrze. W maju podałem się o pożyczkę 5 miljonów. Mogłem za to kupić parę koni. A dostałem te pieniądze przed paru miesiącami. Co za to mogłem kupić? A wydatków moc. Chciałbym np. kupić młocarnię. Teraz za wydzierżawienie młocarni muszę płacić 10 pudów zboża dziennie.



— A ile macie ziemi?

— 15 ha.

Zajeżdżamy po drodze do szeregu osad. Wszędzie dają się słyszeć utyskiwania na brak gotówki i kredytu. Niektórzy osadnicy nie dostali jeszcze budulca. Mieszkają w ziemiankach. Do takich należy np. kapitan Sierpiński z bratem.

— Jak przyszedłem tu—powiada b. sympatyczny kapitan Sierpiński—była tylko goła ziemia. Nie miałem ani budulca ani pieniędzy. Zrobiliśmy z bratem tę oto ziemiankę — i jakoś sobie radz my. Zbiory w roku ubiełym były ładne. Dziś mam i krowę i tych parę szkap, no i te sterty — pokazuje ręką na dwie wcale pokaźne sterty zboża. Jakoś to będzie.

Wracając o zmroku do Łucka, porządkowałem w myśli wrażenia odniesione z wycieczki. I oto do jakich doszedłem wniosków:

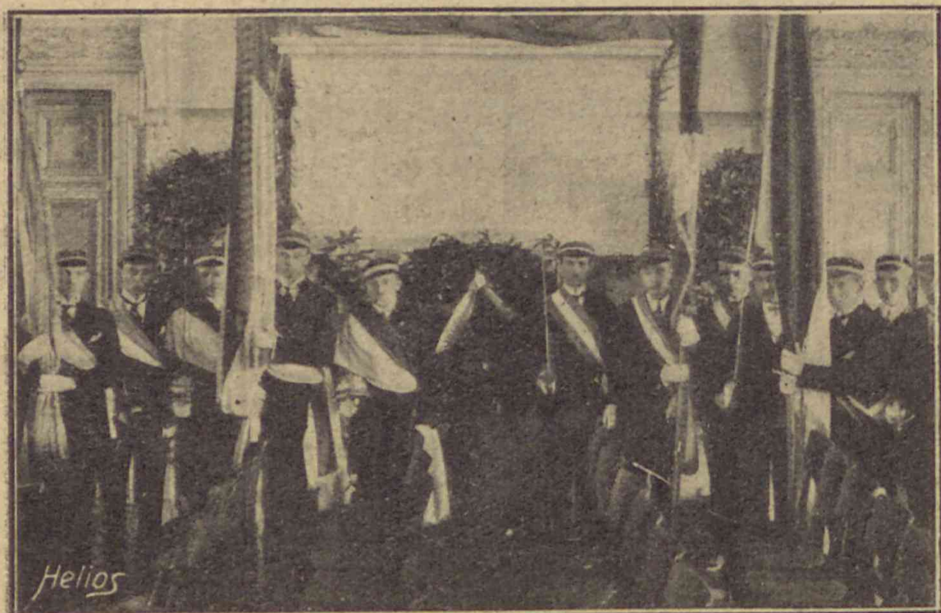
Osadnictwo wojskowe na kresach to wielka rzecz. Ale jeśli ma ono spełnić swoje najważniejsze zadanie, jeśli osadnik ma być rozsadnikiem wyższej kultury polskiej, promieniującym naokół — to należy temu osadnikowi ułatwić jego zadanie, należy go zaopatrzyć we wszystko, co mu potrzebne do założenia wzorowego gospodarstwa, a więc w budulec, narzędzia, inwentarz, kredyty. Inaczej dzieje się tak, że na osadnika, którego gospodarstwo z konieczności szwankuje — chłop miejscowy patrzy zgóry, nie tylko nie uznając jego autorytetu, lecz, przeciwnie, uważając go za coś niższego od siebie.

Jakże w takich warunkach ma się odbywać promieniowanie kultury polskiej? Jakże taki osadnik, borykający się z elementarnemi brakami i cierpiący w większości swej nędzę—może być wzorem dla dostatniego gospodarza — chłopa rusińskiego?

To są te braki osadnictwa, któreby należało przy mądrej polityce rządowej usunąć.

X. G.

Odsłonięcie tablic pamiątkowych poległych za Ojczyznę studentów w Warszawie.



Tablica pamiątkowa poległych za Ojczyznę studentów Uniwersytetu Warszawskiego.



Tablica pamiątkowa poległych za Ojczyznę studentów Wyższej Szkoły Rolniczej.

Fot. Saryusz Wolski.

Prześladowanie Polaków na Litwie Kowieńskiej.

Wbrew szumnym zapowiedziom i przechwałkom litewskiej propagandy o humanitaryzmie, w więzieniu kowieńskiem znajdowali się ludzie chorzy na tyfus i dzieci. Akty oskarżenia w ich sprawie wiadome były tylko władzom litewskim, dla których najpoważniejszy zarzut — to przynależność do narodowości polskiej.



Więzienie kowieńskie.



Pp. Kowalec Rajmund, Głazewski, Sipowicz i Narkiewicz, więźniowie kowieńscy w celi.



P. Marja Wołodkiewiczówna, opiekunka więźniów polskich w wiezieniu kowieńskiem przez lata 1920, 21 i 22.



K. Kondratowicz, 8 letni chłopiec skazany na 10 lat więzienia, po 2 latach zwolniony.



Partja szachów w więzieniu. Józef Narkiewicz, A. Kalkoff, Jan Niekrasz (zmarł).



St. Gieysztor, chory na tyfus w więzieniu kowieńskiem.



Stefan Zyberg Plater na podwórzu więziennem podczas przechadzki.

Z TYGODNIA.

Czcigodni przedstawiciele warstw posiadających namaścili oblicza powagą, mającą świadczyć o ich głębokiej, wewnętrznej trosce. Ci zwłaszcza od większego przemysłu i banków, którym dobrotliwy skarb polski udzielał olbrzymich kredytów. Mareczka spadała, dług malał, mająteczek zaokrąglał się wdzięcznie w wysokocennych walutach. Wskaźnik drożyźniany wspinał się szybko i bez przerwy? Wszystko jedno. Mareczka leciała w dół jeszcze prędzej.

Skończyła się ta zabawa. Drożyzna jeszcze wprawdzie rośnie, ale już powolniej. Marka polska natomiast zaczyna się statkować. Pan Grabski obiecuje, że z początkiem lutego zatrzyma druk banknotów. Radujcie się, o literaci! Piękne zakłady graficzne p. Wład. Kościelskiego w Bydgoszczy nawrócą może do swych pierwotnych przeznaczeń, nowa książka pocznie częściej się pojawiać.

Wraz ze stabilizacją waluty każdy wzrost drożyzny stanie się dokuczliwszy. Nie będzie można okupić go zwyżką kursu dolara. Gryndерski szwindel z akcjami będzie trudniejszy. Szeroki ogół zacznie lokować swe oszczędności w procentujących uczciwie papierach państwowych, lub w poważnych instytucjach bankowych. Wróci pewność, że za wkład swój otrzyma taką samą wartość, jaką wniósł. Zaś gdy tak będzie, musi rozpocząć się prawdziwa walka z drożyzną. Do tej pory była ona wierutną Bajdą. Walki z drożyzną nie mógł prowadzić żaden komisarz, choćby promieniował z niego genjusz najbardziej ludowego stronnictwa. Walkę z drożyzną może prowadzić tylko całe społeczeństwo.

W procesie przesilenia gospodarczego, który się rozpoczął, najkapitalniejszem zagadnieniem staje się znalezienie i zastosowanie środków, któreby w okresie krytycznym podtrzymały siły materjalne narodu. Nie o to przecież chodzi, że ten i ów fabrykant, który produkował tylko dzięki kredytowym subwencjom Pożyczkowej Kasy Krajowej, będzie musiał zawiesić roboty, lub że połowa nowych banków, wyrosłych jak trujące grzyby na spekulacji walutą, z powrotem oddawać będzie lokale cukierniom i kawiarniom. Idzie o to, ażeby, wylewając brudną wodę, nie wylać i dziecka. Polska nie jest krajem ściśle rolniczym, utrzymanie i prawidłowy rozwój przemysłu jest państwową koniecznością gospodarczą.

Jakaż na to rada?

Jedna tylko, — innej niema: trzeba dążyć do zmniejszenia kosztów produkcji. W ostatnich latach producent szedł po linji najlżejszego oporu. Czynił wprawdzie potrzebne inwestycje, wstawiał nowe maszyny, budował nawet, — ale o koszt produkcji mało się troszczył, bo przerzucał go bez wahania i bez skru-

pułu na spożywcę. Teraz nie da się już iść tak łatwo po tej drodze. Możliwości konsumenta wyczerpały się. Konsument będzie musiał bronić się,— bo w kieszeni przeziera płótno.

Zmniejszać koszt produkcji można tylko trzema sposobami:

Przez lepszą organizację pracy.

Przez zmniejszenie zysków kapitału.

Przez redukcję pracy pracowników.

Już słyszę, jak żachnie się przemysłowiec: — gdzież są te nasze wielkie zyski?

A za cóż to panowie remontowaliście fabryki, doprowadzaliście je do stanu przedwojennego, — w wielu wypadkach nawet do lepszego stanu niż przed wojną? Chwała Bogu, iż wam się powiodło, kraj na tem zyskał, — ale i wy również. Tempo odbudowy było bardzo szybkie. Może nawet nie zawsze dostosowane do warunków gospodarczych.

Najważniejszą atoli jest sprawa płac pracowników. Te płace rosły zgoła nie w stosunku do wartości pracy. Rewizja jest nieuniknioną.

Nikt z pewnością bardziej odemnie nie cieszy się z poprawy stosunków materjalnych robotnika polskiego. Każdy uczciwy obywatel zrozumie, że tylko podnosząc poziom zarobkowy warstw pracujących, można podnieść ich poziom kulturalny. Za czasów niewoli pewne kategorje pracowników, np. parobków folwarcznych, były fatalnie upośledzone. W równej mierze zresztą cieszę się z polepszenia warunków bytowania pracowników miejskich, choć sam, jako literat, należę do kategorji pracowników dziś w Polsce najbardziej upośledzonych. W odrodzonej Ojczyźnie literaci, pod względem stosunkowych zarobków, zajęli akurat to samo miejsce, które przed wojną zajmowali parobcy folwarczni. Nie zazdrościmy przecież pp. krawcom, szewcom, piekarzom, zecerom etc., że skala ich zarobków, w stosunku do parytetu złota, przekroczyła normy przedwojenne. Nie potrafimy, jak oni, bronić równie skwapliwie naszych interesów, znosimy nasz los bez skargi.

Ale robotnik polski, walcząc słusznie o swe prawa do życia, zbyt mało pamiętał o swych obowiązkach do pracy. Ten sam robotnik polski, który na obczyźnie, w Ameryce, w Westfalji lub we Francji zdobywa się na godną podziwu wydajność pracy, w Polsce chce zarabiać jak najwięcej, pracując jak najmniej. To się nie da utrzymać. Robotnik polski musi zdać sobie sprawę, że w jego najbardziej bezpośrednim interesie leży obecnie podtrzymanie warsztatów pracy. Kapitalista, na dłuższą metę, nie będzie mógł prowadzić fabryk ze stratą. Strajki będą prowadzić do zamykania fabryk.

Zatem redukcja zarobków? Pan Piotr Drzewiecki, doskonały znawca stosunków przemysłowych, odpowiada: — Nie, ale wzmożenie pracy. Ośmiogodzinny dzień pracy w Polsce,— gdy w sąsiednich Niemczech wszystkie zakłady przemysłowe zastosowały dzień pracy dziesięciogodzinny, jest nonsensem. Minęły czasy, kiedy jedno państwo od drugiego mogło się odgradzać murem. Jeśli przemysł nasz będzie wytwarzał drożej niż niemiecki, zacznie chorować, marnieć, aż w końcu zamrze. I opierający się koniecznościom gospodarczym robotnik będzie musiał emigrować do obcych krajów, w twardej szkole cudzoziemskiej dopiero przekona się, o ile lepiej było mu w kraju rodzinnym.

Rewizji także domaga się nasza organizacja handlu. Nazbyt rozpanoszył się pasożyt kosztownego a zbędnego pośrednictwa. Trzeba szukać nowych dróg zbliżenia spożywcy do wytwórcy. Tak samo koniecznem się staje powstrzymanie wskazówki dodatków drożyźnianych. Ulga, jaką dają, jest bardzo złudna, bo każda nowa enuncjacja wskaźnika drożyźnianego wywołuje nowe podwyżki cen. Trzeba tedy raz zdobyć się na ofiarę, — wyprężyć muskuły, wytrzymać napór. Pomyślny wynik da się odczuć niezwłocznie.

Najbliższy etap naszych zmagań się finansowych jest uciążliwy, w udręki wszelkiego rodzaju obfity. Lecz naogół daje się odczuć wiara w powodzenie zamierzeń rządu. Odezwa p. Grabskiego do narodu wywarła jak najlepsze wrażenie. Jest natchniona godnością i powagą. Teraz niech każdy spełni swój obowiązek. *skrz.*

Zasłużona nauczycielka śpiewu.



Róża Rapacka-Boguska, zasłużona nauczycielka śpiewu, córka zmarłego nestora aktorstwa polskiego ś. p. Wincentego Rapackiego.

Teatr „Wodewil". „Słowik Hiszpański". Operetka w 3 aktach L. Falla.



Olga Orleńska, znana śpiewaczka operetkowa i operowa, b. primadonna opery w Poznaniu. Występuje obecnie w teatrze „Wodewil". kreując rolą tytułową w operetce L. Falla „Słowik Hiszpański".

Z ekranu.



p. M. Halicz, utalentowany artysta filmowy. Piękne warunki i wyrazista gra stawiają go w rzędzie naszych męskich „gwiazd" ekranu. Ostatnio grał w obrazie „Młodość zwycięża.

Długie, czy krótkie.

Życie i moda stawiają zawsze kobietę wobec zagadnień, o jakich się nie śni mężczyznom.

Z pokolenia w pokolenie, z babek na wnuczki, od dam rokoka, empire'u, po dzień dzisiejszy ciągną się te zagadnienia, a wszystkie, jakgdyby umyślnie, pod jednym znakiem zapytania: „długie czy krótkie?".

Długie czy krótkie suknie. Długie czy krótkie stany. Długie czy krótkie futra. Długie czy krótkie dekolty. Długie czy krótkie rękawy. Długie czy krótkie włosy.

Ażeby problemy te uprościć, moda decyduje, że po długich następują krótkie, a po krótkich długie. (Oczywiście niema tu żadnej współmierności i długim rękawom nie muszą towarzyszyć długie stany, a krótki żakiet może pokrywać długi dekolt).

Zmienność zmienną z natury (podobno) kobietę bawi, przeto spędza część swojego życia na skracaniu rzeczy długich i odbudowywaniu tych, które się podłużyć nie dadzą.

Moda, która przed kilku laty kazała obciąć suknię trochę poniżej kolan, wychodziła z założenia, że zbyt długo długie suknie ukrywały podstawy kobiecości. Moda ta miała być tryumfem pań z sfer pozabaletowych, które to nie miały sposobności ukazywać swoich nóżek szerszym warstwom publiczności. Nie mówmy lepiej o rezultatach... A jednak jest to jedyna moda, przy której niewiasty upierają się, bo każda wierzy, że ma wyjątkowo piękną nogę, nie, piękne nogi i że warto je pokazywać.

Małe, krótkie, kwadratowe dekolciki zaczęto wydłużać coraz bardziej, aż — jak się o tem przekonał naocznie najlepszy z krytyków na jednej z premjer— kobiety zaczęły siadać na własnych dekoltach. Moda ta miła dla oka miała wiele zwolenniczek, ale znowu nastąpił zwrot i malutkie wycięcie w kształcie elipsy kryje dekolt.

„Wszystko to już było" mawiał jeden z mniej popularnych filozofów, najprawdopodobniej w momentach, gdy oglądał stroje swoich wnuczek. Czy jednak nie mylił się, czy wszystko to, co było już, nie jest trochę inne od tego, co będzie, zwłaszcza w dziedzinie mody.

Ale moda nie zawsze jest obowiązkiem kobiety, czasem staje się spornym tematem. Takim tematem sporów w Paryżu, a więc i u nas jest: długie czy krótkie włosy?

Panie, które w ubiegłym sezonie ścięły sobie włosy, utrzymują, że mają już tego dosyć i gwałtem starają się o długie piękne sploty.

Panie długowłose mają niezliczoną ilość argumentów, ażeby przekonać siebie i otoczenie, że tylko krótkie włosy dają kobiecie (nawet czterdziestoletniej) wygląd podlotka, wdzięk młodości i cały szereg nie mniej doniosłych zalet.

Kobieta z krótkiemi włosami zyskuje na czasie, który traciła przy czesaniu długich włosów. Licząc, że przeciętnie dwie godziny dziennie czesała się, to w ciągu roku po obcięciu włosów zyska przeszło siedemset godzin, a po dziesięciu latach siedem tysięcy godzin zaoszczędzonych staje się bardzo pokaźną sumą czasu.

Najzaciętszymi wrogami krótkich włosów są mężczyźni, a w pierwszym rzędzie fryzjerzy. Tutaj nadmienić muszę, że żadna z pań nie uważa fryzjera za mężczyznę. Człowiek, który zna wszelkie tajemnice głowy niewieściej, zna także trzy czwarte tajemnic jej serca — i jest najlepszym powiernikiem. Dobry (tylko dobry) fryzjer wie od swojej „klijentki" wszystko, wie, jakie trzyma akcje i jakie ma nieporozumienia z mężem oraz krawcową, wie nawet bardzo wiele o przyjaciółkach swojej klijentki.

Otóż nieprzejednanymi wrogami krótkich włosów są fryzjerzy.

Obcinając włosy pewnej prześlicznej pani, mówił jeden z największych mistrzów ondulacji.

— Już pani nie będzie wyglądać, jak królowa.

W obecnych, do szaleństwa demokratycznych czasach takie westchnienie ma dziwny urok. Ale panie chcą właśnie wyglądać demokratycznie — i to jest tryumfem, być może, największym, doby współczesnej.

— Największą poezją kobiety są jej długie włosy. Czemuż chcecie wyzbyć się tego, co stanowi wasz urok i czar?— tak mówią mniej więcej wszyscy mężczyźni.

Nie wiem, czy słowa te są szczere i czy nie ukrywa się w nich pewna obawa... Mawiano przecież, że kobiety posiadają „długie włosy — rozum krótki". Czy mężczyźni przypuszczają, że krótkie włosy przeistoczą umysł kobiety?

P. S.

Pierwszą kobietą krótkowłosą była Joanna d'Arc.

Kobiety! ścinajcie włosy. Przyda się w każdem mieście (i w Warszawie, i Łodzi, i Lwowie, i Zakopanem, i Grudziądzu, i Krakowie, Poznaniu, Kielcach, i nawet na Kresach, i w Wilnie, i w Gdyni) po kilka dziewic orleańskich.

H. Jel.

Zarys nauki skarbowej.

Przed wojną niewielu polaków interesowało się nauką o skarbowości. Była to wtedy dla nas sfera problemów nawskroś teoretycznych. Z powstaniem państwa polskiego sama rzeczywistość przedłożyła przed oczy wszystkich świadomych obywateli ten splot zagadnień. Po pięciu łatach bytu niepodległego znaleźć można już kilka wyspecjalizowanych jednostek pod każdym względem w tym zakresie. Sprawy skarbowe są jednak przedmiotem, który siłą rzeczy musi zaciekawiać szerszy ogół. Wiążą się z niemi bowiem bardzo mocno zagadnienia sanacji naszej waluty.

Mamy właśnie do zanotowania nowy podręcznik w tej materji prof. dr. Kazimierza Petyniaka-Saneckiego pt. „Zarys nauki skarbowej". Książka ta jest przeznaczona, jako podręcznik dla młodzieży w zakładach naukowych o charakterze praktycznym, jak szkół handlowych, przemysłowych, rolniczych, dalej jako repetytorjum przed egzaminem w wyższych zakładach naukowych, a wreszcie dla każdego czytelnika z szerszego ogółu, któryby zechciał zaznajomić się w krótkości z systemem skarbowym w ogólności, a z systemem podatkowym w Polsce w szczególności.

Z racji wydania tej książki warto jest przypomnieć słynne powiedzenie St. Staszyca: „teraz nie ten kraj jest wolny, który nie daje podatku, lecz ten, który płaci najwięcej".

Pożyteczny ten a dobrze napisany podręcznik nauki skarbowej wydała zasłużona księgarnia polska towarzystwa nauczycieli szkół średnich i wyższych.

Z KALOTECHNIKI.

Najważniejszym czynnikiem prawidłowego pielęgnowania cery jest użycie wody i odpowiedniego mydła. W praktyce lekarsko-kosmetycznej często spotykamy się z uwagą, że od wody, a jeszcze bardziej od mydła cera się niszczy i dlatego czyniący tę uwagę już kilka lat (nawet!) twarzy nie myje. Żaden lekarz z takim zdaniem się nie zgodzi. W warunkach normalnych, kiedy skóra jest zdrowa, nie może być mowy o ignorowaniu czystej wody i mydła. Inna jest rzecz, że mydło powinno być odpowiednio wybrane. Jeżeli skóra jest sucha, skłonna do łuszczenia się, wtedy myć twarz i szyję należy w wodzie zimnej, mydłem przetłuszczonym. Często zaleca się w tych wypadkach, używanie maści tłustych. Jeżeli zaś skóra wydziela nadmiar tłuszczu, jest błyszcząca i lepka, wtedy zaleca się myć twarz w wodzie dobrze ciepłej i używać mydła z domieszką takich środków leczniczych, które mają zastosowanie wogóle przy leczeniu łojotoku, np. przetwory siarkowe, kamfora, resorcyna i t. d. O wyborze środków kosmetycznych należy decydować ostrożnie i należałoby zasięgnąć porady lekarza-specjalisty, bo skutecznym może być tylko odpowiednio wybrany, dobrze zastosowany środek kosmetyczny dobrego gatunku. O tem pomówimy w przyszłym numerze „Świata".

Porady leczniczo-kosmetyczne udzielane są w „Kalotechnice", ul. Marszałkowska 116.

Lekarz „Kalotechniki".

Najważniejsze wypadki minionego tygodnia.

SANACJA SKARBU.

W odezwie do obywateli Rzeczypospolitej zapowiedział premjer Grabski, że w pierwszych dniach lutego rząd zatrzyma maszyny drukarskie, bijące pieniądz papierowy. Społeczeństwo musi teraz skrupulatnie płacić w terminach naznaczone podatki. Gdy wszyscy spełnią swój obowiązek, szybko nadejdą czasy normalne.

Angielską misję doradczą mają zastąpić instruktorzy do spraw skarbowo-ekonomicznych. Tak radzi p. Young, a pan Grabski w zasadzie uważa to za możliwe.

Drożyzna zachwiała się w posadach. Jaskółki potanienia pojawiają się już w niektórych działach handlu. Zastój powszechny; społeczeństwo czeka na tańszy towar.

ŻYCIE PARLAMENTARNE.

Sejm rozpoczyna na nowo swe prace. Może po wypoczynku świątecznym i złagodnieniu partyjnych przeciwieństw obrady połączą się teraz z wydatniejszym skutkiem. Mnóstwo ważnych spraw czeka załatwienia.

Nad ochroną lokatorów obraduje Sejmowa komisja prawnicza. Co do wysokości stawek komornego nie łatwo dojść do zgody. I właściciele domów i lokatorzy śledzą bieg obrad ze zrozumiałem zajęciem.

POLITYKA ZAGRANICZNA.

Wielką debatę finansową odbyła francuska Izba deputowanych. Poincaré wezwał większość do skupienia się zwartym blokiem około rządu w celu odparcia wszelkich ataków przeciw frankowi.

Kampanję przeciw frankowi prowadzili, jak się okazało, finansiści niemieccy. Anglicy wspomogli ich, wymieniając pospiesznie franki na dolary.

Mac Donald energicznie zabrał się do dzieła. Na początek zajął się bezrobociem, przesileniem w rolnictwie i sprawą mieszkaniową. I Polsce przydałby się energiczny reformator tych dziedzin życia.

Uznanie sowieckiej Rosji uważa Mac Donald, obok wzmocnienia znaczenia i akcji Ligi Narodów, za najważniejsze dzisiaj problemy w angielskiej polityce zagranicznej.

Parlament włoski rozwiązany królewskim dekretem. Król stwierdza jednocześnie wielkie zasługi, jakie rząd faszystowski położył dla państwa.

Strajk kolejowy w Anglji traci na sile i zbliża się ku końcowi. Część maszynistów i funkcjonarjuszy kolejowych powróciła już do pracy.

Sojuszniczy traktat Francji z Czechosłowacją został oficjalnie opublikowany, a rząd francuski uważa go za korzystne dopełnienie traktatów z Belgją i Polską.

Pogrzeb Lenina odbył się w Moskwie z wielką uroczystością. Dyplomacja wyraziła sowietom kondolencje, wśród których zwróciła uwagę zwłaszcza kondolencja Watykanu, wystosowana przez kardynała Gaspariego.

Michał Rodzianko, b. prezes Dumy, wybitny działacz rosyjski, zmarł w Jugosławji, dokąd emigrował po zlikwidowaniu się ekspedycji gen. Wrangla.

Nowe Wydawnictwa.

ZWIĄZKI MŁODZIEŻY POLSKIEJ.

Był czas, że młodzież polska przechowywała najświętsze ideały wolności narodowej. Czyniła to zawsze w imię najwyższych haseł humanitaryzmu — dobra i piękna. Nieprzejednanie młodzieży na punkcie politycznej niepodległości narodu szło w parze z wysokim ideałem moralnym. Obecne czasy wypaczyły cokolwiek ideologję młodzieży. Z tej racji zapewne więc p. I. W. Kosmowska napisała książkę pt. „Związki młodzieży polskiej od 1816 roku do naszych czasów", w której wykazuje tradycyjny idealizm i humanitaryzm przeszłych pokoleń. Tendencję rozprawy tej wyjaśnia autorka:

„Celem pracy niniejszej nie było regestrowanie tylko konspiracyjnych związków dla walki zbrojnej tworzonych, chodziło tu raczej o stwierdzenie, że dążenia społeczne młodzieży polskiej szły zawsze równolegle z walką o niepodległość".

Książka zamyka się omówieniem „ideologji zrzeszeń młodzieży w wolnej Polsce". P. Kosmowska przy analizie tych ideologji czyni następującą uwagę:

„Pozostawcie starszym, praktycznym politykom zastosowanie egoizmu, jeśli to w ich mniemaniu jest konieczne, a sami bądźcie jaknajdłużej altruistami, abyście potem nie żałowali lat młodości. Pomnijcie, że to, co dziś jeszcze utopją nazwać można, jutro już nią nie będzie.

„Odrzućcie też przez podziały zaszczepione lekceważenie innych dzielnic Polski a wynoszenie własnej dzielności, lecz otwierajcie oczy i uszy przy zbliżaniu się z braćmi, otwierajcie im serca. Bądźcie wyrozumiali dla wiar nie waszych i dla narodów obcych. Najlepsi z nas wam to nakazują August Cieszkowski tak mówi w „Ojcze Nasz": „Uszanowanie dla każdej narodowości, dla niepodległości ludów, równie, jak dla wolności osobistej jest warunkiem skojarzenia ludzkości".

Książka p. Kosmowskiej pełna jest polotu ideowego i jako taka winna wśród młodzieży stać się lekturą orzeźwiającą. Jeżeli humanitaryzm obronił dusze nasze przed zalewem w czasy niewoli—to obecnie w Niepodległej Polsce tembardziej służyć nam winien za busolę w postępowaniu.

GRA.

Surdina matuje nawet tony rozpaczy i krzyku. Przytłumia szloch, a i radość czyni podobną jesiennym, płowym słońca promieniom. P. Gabrjel Karski na psychice słów swoich poetyckich nosi zwiewny czar takiej surdiny. Im jednak skrzypce są szlachetniejsze, tem większy jest czar tonu zmatowanego przez surdinę. Dotyczy to i psychiki artystycznej. Niech nie probuje słów gobelinowych, delikatnych, prostych nizać w strofy poeta o małej skali kultury. Surdina zniszczy zamierzenie. P. Gabrjel Karski nałożył na rejestry uczuciowe i wrażeniowe swojej wyobraźni tłumik i nie jest to sztuczny, wymuszony ton jego poetyckich, lirycznych wynurzeń.

Już w pierwszym jego zbiorku wierszy p.t. „Drzewo przydrożne" przeważała ta zmodulowana tonacja. Teraz w nowym zeszycie pt. „Gra" cicha, rzewna, skrzypcowa melodja odżywa się całą kaskadą marzenia. Marzenie to nie wybiega w zaświaty, nie dąży na turnieje, nie szuka utarczek. Najgłębszą treść swoją zamyka w czterowierszu:

„Marzy mi się las pełen grzybów i poziomek;
w tym lesie — niepozorny, mały, cichy domek
błogosławiony gniazdem jaskółczem pod strzechą;
w tym domku: jedno serce — serca mego echo.

Co do formy p. Karski stara się o różnorodność: „Kasyda", „Elegja", czterowiersz o najróżnorodniejszej tonice przewijają się płynnie i dźwięcznie w kompozycjach poetyckich. Podnieść należy również brak pozy w tych utworach. P. Karski nie robi z siebie żadnego pierrota, dandysa czy wreszcie jakiegoś intellektualisty. Smętki serca swego śpiewa, radości marzeń rozsnuwa, jak wzorzyste tkaniny siężogi. I nie chce żadnych chwalb za to: wystarcza mu zupełnie jego pieśń z pracy tęsknoty zrodzona. Powie o sobie:

Jeśli to jeno złuda — zrzec się jej nie mogę:
tej wiary, że coś zrodzi tęsknot moich praca;
przeto pójdę bez żalu tam, skąd się nie wraca,—
tak jak co dnia, jak dzisiaj opuszczam tę drogę,
nad którą, by odpocząć, na chwilę przysiadłem,
zostawiając za sobą spowity cieniem
szmat mego serca z tkwiącem w niem dziennem cierpieniem,
jak ten cichy szmat roli z porzuconem radłem.

Najnowszy zbiór wierszy p. G. Karskiego świadczy, iż nie ustaje on w twórczej swojej krystalizacji.

Z KALOTECHNIKI.

Pan D., student we Lwowie. Dla zmywania z włosów maści, usuwającej łupież, zapisanej przez naszego Doktora można używać płynne mydło alkaliczne „Pinol".

Pani D-rowa Zaska. Jeżeli krem „Radium" pomógł, to nie ma potrzeby stosować go dłużej. Za wyrazy uznania dziękujemy.

Uczniowi VI-ej kl. Nie ma się pan czego bać, bo nasz Doktór („Kalotechnika". Marszałkowska 116) usunie panu kurzajki bez bólu za pomocą nowego katodowego aparatu. Ucząca się młodzież płaci taniej.

Odp. Red-wydawca ST. KRZYWOSZEWSKI. Druk Galewski i Dau, Warszawa.

Z RUCHU WYDAWNICZEGO.

PRZEZ PŁONĄCY WSCHÓD.

Wspomnienia z lat niewoli rosyjskiej będą kiedyś bardzo ciekawem tłem rozważań historycznych. Zagnano przecież tysiące „braci-słowian-polaków" na Syberję, do Taszkentu czy kraju zakaspijskiego i tak rząd carski, jak później rewolucyjny nie kwapiły się wcale, by zadość uczynić słusznym prawom tych przymusowych uchodźców. Gorzej jeszcze działo się różnym wojskowym zesłańcom. Że jednak polak na obczyźnie zawsze lepiej potrafi sobie radzić, niż w domu— więc mimo wszystkie złe losy udało się wielu zesłańcom przewegetować i dobrnąć do ojczyzny. Droga ta nie była prosta. Znaczą ją liczne mogiły przydrożne.

Nie przejdą te lata doświadczeń bez śladu w psychice tych ludzi. Przeżyli wiele, zaobserwowali również bardzo dużo. Zetknęli się przytem masowo ze Wschodem, co w dawne lata należało tylko do indywidualnych przygód. Niektórzy te swoje obserwacje i przeżycia podali i podają do wiadomości publicznej. Powstają z tego ciekawe publikacje. Do takich należy właśnie świeżo wydana książka p. Ferdynanda Goetla p.t. „Przez płonący wschód". Jest to opis drogi, jaką zdążał p. Goetel z bolszewickiego Taszkentu przez Bucharę, Afganistan, Persję, Indje, Anglję do Polski. Fantastyczna ta podróż pełna jest przygód niecodziennych. Sądząc z książki p. Goetla, nie poszła rzecz tą łatwo — ale i trudności nie było nadmiar. Powstawały one z dezorganizacji życia powojennego. W pewnych wypadkach dezorganizacja ta pomagała uchodźcom, w innych przeszkadzała.

P. Ferd. Goetel na to, by uciec z bolszewji, poszedł za pomysłem wielu naszych rodaków: wstąpił na służbę do komisarjatu. Popracował parę miesięcy i jako pełnomocnik bolszewicki udał się do Taszkentu, by stąd przedostać się do Persji. Poszło to bez specjalnych, nadzwyczajnych przygód. P. Goetel miał przepustkę nawet z fotografją i pieczęcią. Do posterunku angielskiego na granicy perskiej dojechał szczęśliwie. Anglicy przyjęli p Goetla dość oschle. I później zdarzały się tego rodzaju przyjęcia, naogół jednak nie wszyscy gentelmeni zachowywali się sztywno. Byli między nimi ludzie i odmiennej struktury psychicznej, bardziej wrażliwi na niedolę ludzką.

Najciekawsze stronice książki dotyczą Afganistanu, Persji, Taszkentu i Samarkandu. P. Goetel umiał odnaleźć w miejscowościach tych wiele materjału obserwacyjnego. Ciekawe są jego uwagi o Persji i o sympatjach germanofilskich, panujących wśród tutejszej ludności. Jest zgoła dziwne, że i dla Polski żyją tu sympatje niewiadomo przez kogo przeszczepione.

Wspomnienia p. Goetla czyta się z dużem zainteresowaniem. Będą one napewno jedną z poczytniejszych lektur wśród szerszych kół naszej inteligencji.

GOSPODARZ.

„Gospodarz", czasopismo rolniczo-ogrodnicze, wychodzący przez 13 lat, zawieszony skutkiem wojny, został wznowiony przez szereg najwybitniejszych działaczy rolników, zrzeszonych w sp. z ogr. odp. redagowany jak dawniej przez Edmunda i Stefana Jankowskich. Zachowując nadal typ praktycznego poradnika rolniczo-ogrodniczego, podniesiono poziom artykułów i zastosowano do potrzeb rolników inteligentnych, z uwzględnieniem także leśnictwa, przemysłu rolnego, budownictwa wiejskiego i t. p., jak również gospodarstwa kobiecego. Specjalna uwaga zwrócona na wiadomości handlowe i na dział ogłoszeń okazyjnego kupna i sprzedaży. „Gospodarz" będzie wychodził narazie jako dwutygodnik a przy wzroście prenumeratorów jako tygodnik.

CZEKOLADA | KARMELKI

Jan ZIÓŁKOWSKI

SP. AKC.

WARSZAWA, WOLSKA 32, tel. 189-97.

SPECJALNOŚĆ: „PERŁA WISŁY"

wyborowa czekolada tabliczkowa

GRAFICZNE ROBOTY:
AKCJE, CZEKI I KUPONY
LISTY I CYRKULARZE
EX-LIBRISY, ETYKIETY
WYDAWNICTWA OZDOBNE
SCHEMATY BIUROWE
KALENDARZE REKLAMOWE
ILUSTRACJE JEDNO, DWU, TRZY
I WIELOBARWNE. BROSZURY
DZIEŁA NAUKOWE I POWIEŚCI
ARTYSTYCZNY, NOWOCZESNY
UKŁAD REKLAMY DRUKARSKIEJ



ZAKŁADY DRUKARSKIE

GALEWSKI i DAU

WARSZAWA, UL. ORDYNACKA 6

TELEFONY: BIURO 6-75. TECHNICZNY 7-55.

ROK ZAŁOŻENIA 1880.



Wykwintna

PERFUMERJA

Bolesław Mazurkiewicz Nowy-Świat 40 (gdzie Kino „Pan"). Tel. 233-60.

SILV-OZON „MOTOR"



SKONCENTROWANY WYCIĄG Z IGLIWA SOSNOWEGO W PŁYNIE, LUB W PROSZKU DO PRZYGOTOWANIA KĄPIELI BALSAMICZNYCH

ZAKŁADY CHEM· FARMAC· WARSZ· TOW· AKC: **„MOTOR"**

CZUJESZ SIĘ NIESZCZĘŚLIWYM W DOMU BRAK CI CIEPŁA RODZINNEGO—ZAMÓW SOBIE JAKNAJPRĘDZEJ KILIM Z **WYTWÓRNI KILIMÓW „WANDA" W CHYBIU** WOJEW. ŚLĄSKIE A ZARAZ POWRÓCI TWOJE SZCZĘŚCIE W RODZINNE PROGI. **KILIMY** NA ZAMÓWIENIE WEDŁUG WŁASNYCH I NADESŁANYCH WZORÓW!

CENY ZA OGŁOSZENIA W ZŁOTYCH POLSKICH:

STRONA	1/1	1/2	1/4	1/8	1/16
I OKŁADKA	120.—	60.—	30.—	15.—	9.—
II „	90.—	45.—	23.—	12.—	6.—
III „	90.—	45.—	23.—	12.—	6.—
IV „	120.—	60.—	30.—	15.—	9.—
W tekście	180.—	90.—	45.—	24.—	13.—
Przed romansem	135.—	68.—	35.—	18.—	12.—

STRONA OPISOWA: Złp. 180. —FOTOGR. I KLISZE na rach. KLIJENTA. Za wiersz wysok. 1 milimetra szerokości 1 szpalty: KRON. TOWARZ. I KOMUNIKATY za 1 m/m 30 groszy. PIERWSZA STRONA tekst za 1 m/m 40 groszy. Za terminowy druk ogłoszeń Admin. nie odpowiada. Rachunki płatne są w Mkp. podług kursu złotego polskiego dnia poprzedniego.

PRENUMERATĘ przyjmują:

W WARSZAWIE: Administracja „ŚWIATA"
SZPITALNA 12. Tel. 47-25. Konto czekowe P. K. O. № **3755**
Księgarnia Trzaska, Evert i Michalski Krak. Przedm. 13, (Hotel Europ.)
W Łodzi: Biuro dzien. ogł. „PROMIEŃ" Piotrkowska № 81.
księgarnia „Czytaj" Dzielna 2.
CENA PRENUMERATY za Styczeń: w Warszawie mies. Mk. 6.000.000 — z odnoszeniem do domu i na prowincji mies. 6.250.000. —
Dla prenumeratorów, którzy wpłacili à conto Stycznia Mk. 3.000.000 obowiązuje dopłata tylko Mk. 2.050.000.
Na poczet prenumeraty za m. Luty obowiązuje wpłata Mk. 6.000 000. Zagranicą podwójnie. Numer pojedyńczy Mk. 1.500 000.

DRUK GALEWSKI I DAU WARSZAWA